

WYPRAWA HELENY
MATKI KONSTANTYNA

DAVIS
BUNN

Relikwie



Święty Wojciech
wydawnictwo

**DAVIS
BUNN**
Relikwie

przekład
ANNA WAWRZYŃIAK-KĘDZIOREK

 **Święty Wojciech**
wydawnictwo

confessione vere fidei eterne trinitatis
gloriam agnoscere et in potencia maiesta
tis adorare. unitatem quesumus ut eui
dem fidei firmitate ab omnibus semper
muniatur aduersis. Per eundem cri
stum dominum nostrum. Amen.

Memoria de sancta cruce. Antiphona



Hos autem
glorari
oportet in cruce
domini nostri
iesu christi V.
Inuis terra a
doret te deus et
psallat tibi. psal

mum dicat nomini tuo. Oramus, oio

Deus qui sanctam crucem tuam
ascendisti et mundi tenebras illu
minasti: tu quesumus sensus corda et
corpora nostra per uirtutem sancte cru

1

Helena stała na pokładzie statku i przyglądała się armii, którą przysłano tu, aby ją zgładzić.

Przed nią srozcigał się port Cezarei – stolicy Judei. Miasto okalały wzgórza, na których królowały świątynie i pałace. Potęga starego Rzymu była tu bardzo widoczna. A Rzym stał się wrogiem Heleny.

Po prawej stronie portu widniała arena – wielki kamienny krąg zalany krwią, po lewej zaś znajdował się pałac wybudowany przez Poncjusza Piłata trzy wieki wcześniej. Ta nadmorska budowla namiestnika Judei mieniła się od świateł. Lamy oliwne paliły się niemal w każdym oknie, a pochodnie tworzyły szpaler wzdłuż drogi wiodącej ku portowi. Kolejne światła rozmieszczono naokoło kamiennego placu przy dokach. Wielkie metalowe świeczniki wieńczyły wysokie kolumny. Ogień oświetlał mężczyzn stojących w szeregach. Ich włócznie, tarcze i hełmy lśniły złowrogo wśród płomieni.

Helena przez całe życie pragnęła odbyć tę podróż. I teraz, kiedy wreszcie tu dotarła, ta cała armia miała dopilnować, by już stąd nie wróciła.

Ta córka karczmarza była żoną[a] imperatora. Ale mąż ją porzucił, a Rzymianie postrzegali ją teraz jako kobietę zhańbioną. Zgodnie z rzymskim zwyczajem, powinna pogrzyźć się w poczuciu wstydu. Zamiast tego udała się do Judei, wypełniając w ten sposób wolę Boga, którego Rzymianie od wielu lat usiłowali wymazać z ludzkiej pamięci.

Nawet we wczesnej młodości Helena dostrzegała wagę pozorów. W oberży jej ojca pracowało mnóstwo wulgarnych dziewczek, które często wybuchały krzykliwym śmiechem i swobodnie się prowadziły. Helena oddalała się od nich, zanim choćby otworzyła usta. Musiała się upewnić, że żadnemu z gości ani przez chwilę nie przyszło na myśl, aby spróbować romansu z nią. Miała w zwyczaju zachowywać kilka swoich spraw we właściwym porządku. Włosy starannie upinała w kok i zawsze miała czyste dłonie. Każdej nocy wcierała w nie gęsi tłuszcz, by nie rogowaciały. Dziewki twierdziły, że jest wyniosła. Ale Helena wiedziała, że w rzeczywistości niewiele ją od nich dzieli. W koshmarze, który nękał ją w dzieciństwie, taki wyzywający śmiech wydobywał się z jej własnych ust.

To dziwne, że pomyślała o tym, kiedy dołączała do kilku towarzyszy na pokładzie. Jej wygląd był naznaczony jedenastoma miesiącami podróży. A także doświadczeniami wygnania z domu, życia i małżeństwa z mężczyzną, który wolał poświęcić resztę swoich dni na pogoń za młódkami[b].

Helena zmusiła się do powrotu do terażniejszości. Młody oficer, którego poznała cztery dni temu, dokładnie wtedy, kiedy ich statek opuszczał Cypr, podszedł i ją pozdrowił. Helena stłumiła w sobie chęć nakazania Antoniuszowi, by zaprzestał tych wszystkich gestów. Wiedziała, że nie popierał ani jej, ani tej podróży. Poza

tym miała wrażenie, że przytłacza go jakieś brzemie. Syn Heleny wspomniał o tym w liście, który Antoniusz jej dostarczył. Konstantyn miał nadzieję, że wyprawa sprowadzi jego wysłannika z powrotem do krainy żywych. Pomimo ciągłego przygnębienia Antoniusza jego obecność była darem. Helena zmusiła się do uśmiechu i życzyła mu dobrego dnia.

Odpowiedział nie tyle cierpko, ile tajemniczo.

– Najjaśniejsza pani, judejscy oficjele czekają.

– Prosiłam, żebyś mnie tak nie tytułował.

Antoniusz z pewnością zdawał sobie sprawę z tego, że jest przystojny. Ale traktował swoją urodę jak ciężar. Ubrany w strój rzymskiego centuriona, wiercił się, dopasowywał hełm, pociągał za pas, za który zatknął miecz. Był wyraźnie zaniepokojony tym, co czekało ich na brzegu.

– W takim razie jak mam się do ciebie zwracać?

– Na imię mi Helena.

– Wasza wysokość, za posługiwanie się cesarskim imieniem grozi kara śmierci.

– Ja już nie mam tytułu. Ani urzędu. – Dobrze o tym wiedział. – Możesz mówić do mnie po prostu „pani”.

– Jak sobie życzysz, moja pani. – Zaryzykował i spojrzał na jej ubranie. – Czy nie masz zamiaru się przebrać?

Opuściła wzrok na szarą luźną szatę, proste sandały, pas z tkaniny. Był to strój kobiety z ludu. Lub pątniczki.

– Tak właśnie chcę wyglądać przez całą podróż.

– Moja pani...

– Mów śmiało. Teraz i w przyszłości.

– Masz spotkać się z namiestnikiem Judei, który odpowiada tylko przed cesarzem w Damaszku.

– Zdaję sobie sprawę z tego, kto czeka na brzegu. Mój syn uważa ich obu za wrogów.

Antoniusz spojrzał spode łba na legion zgromadzony w porcie.

– Tym bardziej powinniśmy więc wycofać się w bezpieczne miejsce i posłać po posiłki.

– Nie jesteśmy tu po to, by wszczynać wojnę, Antoniuszu.

– Pani, nie mam bladego pojęcia, po co tu jesteśmy.

Jej syn opisywał centuriona jako dobrego człowieka, który zasługiwał na jak najlepsze traktowanie, poranionego przez życie i miłość, potrzebującego prowadzenia Heleny bardziej niż jakikolwiek inny znany mu człowiek.

– A jednak wysłuchałeś prośby mego syna, by zostać jego posłańcem? – spytała.

– Będę służył Konstantynowi do ostatniego tchu.

To takie typowe dla oficerów jej syna! Największym darem Konstantyna była zdolność do zyskiwania sobie ludzkiej lojalności.

– Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Antoniusz spoglądał przez wodę na wojsko. W tej samej chwili Helena zdała sobie sprawę z tego, że mężczyzna nie przybył tu jedynie z misją od jej syna. W jego udręczonym wzroku dostrzegła prawdę.

Centurion odbył z nią podróż do Judei, by odnaleźć swój grób.

– Tak się nie stanie – odezwała się ponownie.

– Pani? – zwrócił się do niej z niechęcią.

Jej dłoni nie splami krew tego człowieka. Wyprawa z nią po rozpoznaniu powołania od Boga to jedno. Ale poszukiwanie śmierci...

– Mój kapłan i przyjaciel w czasach pohańbienia dostał gorączki w drodze z Rzymu i zmarł na Krecie. Pomyślałam, że może Bóg chciał, bym na końcu stawiała czoła tej wyprawie sama, pozbawiona bliskich i sojuszników. I wtedy pojawiłeś się ty.

Antoniusz zmarszczył brwi. Był zakłopotany. W pełni skupił swoją uwagę na niej, chyba po raz pierwszy. Zapomniał zarówno o wrogach czekających na brzegu, jak i o brzemieniu, które nosił. Słuchał.

Helena wskazała na emblemat wytłoczony na jego skórzanym napierśniku.

– Czy wiesz, co to oznacza?

– Twój syn, pani, ujrzał ten znak na słońcu.

– Miał wizję. Czy wiesz, do czego wezwał go Pan?

– Wszyscy to wiemy. Wszyscy, którzy wówczas walczyli u jego boku.

Mimo to odpowiedziała na własne pytanie.

– Bóg przykazał memu synowi, by umieścił ten nowy symbol, uczyniony z krzyża i wypisanego na nim imienia Jezusa, na sztandarze i niósł go przed sobą. A wtedy On da mu zwycięstwo. Czy wierzysz, że mój syn naprawdę usłyszał głos Boga?

– Wiem, że on w to wierzy. Wiem też, że odnieśliśmy wielkie zwycięstwo nad armią mającą nad nami potężną przewagę. To wystarczy.

Wcale nie wystarczało, ale żaden argument nie był w stanie wpłynąć na zmianę zdania tego młodego człowieka. Mógł to uczynić tylko Bóg.

– Ja także miałam wizję. Tego samego dnia co mój syn. Dlatego tu przybyłam. I dlatego mój syn mnie poparł, choć był przeciwny tej podróży. Ale się zgodził. Niechętnie. I pozwolił, abym podróżowała jako prosta pątniczka.

– Bóg ci to nakazał?

– Owszem.

– Bez armii?

– W rzeczy samej.

– Moja pani, zginiesz.

- To całkiem możliwe.
- Ja nie... Przybyłaś tu, aby umrzeć?
- Zbliżyła się do niego jeszcze bardziej.
- O to samo powinnam zapytać ciebie.

Antoniusz wzdrygnął się, ale wytrzymał jej spojrzenie. I nie odpowiedział.

Zamierzała opowiedzieć mu, o czym zapewnił ją Bóg: że nie tylko przetrwa tę wyprawę, lecz także przyniesie chwałę imperium i światu w niepojęty dla niej sposób. Ale nagle coś ją powstrzymało. Położyła tylko dłoń na ramieniu Antoniusza.

– Przybyłam tu, aby wypełnić Bożą wolę. Pozostaje pytanie: czy jesteś gotów do mnie dołączyć? I czy uczynisz to z właściwego powodu? – spytała cicho.

[a] Lub konkubina, co jest bardziej prawdopodobne, jeśli weźmie się pod uwagę różnice społeczne pomiędzy nimi (przyp. red.).

[b] W rzeczywistości do porzucenia Heleny Konstancjusza zmusiły względy polityczne (przyp. red.).

Helena wcale nie chciała, by jej świat się skończył. Po prostu pragnęła jego zmiany.

To pragnienie towarzyszyło jej już w dzieciństwie i wieku nastoletnim. Tę podróż rozpoczęła z myślą, że taka wyprawa dobrze jej zrobi.

Ale teraz, kiedy stała i patrzyła, jak statek ślizga się po gładkiej wodzie, nie była już tego pewna.

Wyczuwała dezaprobatę Antoniusza. Żadna niespodzianka. Spodziewał się przecież, że wkrótce wszyscy zginą. I jeszcze ten jej strój. Proste odzienie z szarej tkaniny okrywające ją od szyi do kostek. Nie miała na sobie biżuterii ani oznak władzy. Nawet korony.

Jak większość żołnierzy, Antoniusz podziwiał syna Heleny. Konstantyn, jej jedyne dziecko, był najmłodszym rzymskim dowódcą od blisko dwóch setek lat. Wielu uważało go za najlepszego wodza w historii imperium. Antoniusz nie musiał nic mówić; Helena wiedziała, że tak pospolite ubranie urągało jej synowi i wszystkiemu, co sobą reprezentował.

– Powiedz, proszę, co nas czeka – przemówiła.

Statek sunął z wolna w kierunku brzegu. Robotnicy portowi przystanęli, gotowi złapać cumy i je uwiązać. Za nimi zgromadzili się legionści.

– Judea jest zarządzana z Damaszku. Damaszkiem rządzi cesarz Maksymin. Człowiek, który właśnie wyleguje się pod baldachimem, to jego namiestnik, Firmilian. Maksymin i Firmilian są zaciekłymi wrogami wszystkich naśladowców Jezusa. Prześladowają ich bardziej niż ktokolwiek inny w całym imperium. Gardzą tobą i twoim synem. Nic nie zadowoli ich bardziej niż możliwość chęłpienia się, że doprowadzili do twojej śmierci.

– To z pewnością uradowałoby wszystkich wrogów mego syna – zgodziła się z nim Helena.

– Maksyminowi nie wystarcza tytuł cesarza w Damaszku – ciągnął Antoniusz. – Chce zostać ukoronowany na władcę Rzymu. Twoja śmierć przybliżyłaby go do tego celu. Ale nie doprowadzi do niej dziś.

W Helenie zatlił się słaby płomień nadziei.

– Dlaczego nie?

– Ponieważ nie chce robić tego jawnie. Jego wrogowie i sprzymierzeńcy twego syna nazwałiby go mordercą. Straciłby poparcie senatu. – Antoniusz spojrzął groźnie na legionistów stojących w gotowości. – Zaczeka, aż usuniemy się z widoku publicznego. I wtedy się nas pozbędzie.

Rzucono liny. Statek został wciągnięty na kamieniste nabrzeże. Przelatująca nad nim mewa zaskrzeczała rozpaczliwe powitanie. Kapitan wydał rozkaz i schody opadły z łoskotem. Za uzbrojonymi żołnierzami, oficjelaami i areną wznosiły się

stromie wzgórza. Świątynie lśniły we wschodzącym słońcu. W Helenie potęgowało się poczucie wkraczania w rzeczywistość, z której nie ma ucieczki.

Wiedziała, że młody oficer oczekiwał od niej jakiegoś wyrazu niepokoju, a przynajmniej wskazówki dotyczącej dalszego postępowania. I należało mu się to. Wszyscy, którzy podróżowali wraz z nią, powinni wiedzieć, dlaczego podejmuje się czegoś, co uważali za krok samobójczy.

– Nie przybywam do Ziemi Świętej jako zhańbiona żona – przemówiła. – Nie interesują mnie tytuły ani chwała, z których odarły mnie działania mego męża. Przybywam tu jako pątniczka. Prowadzę poszukiwania.

Antoniusz wskazał na szeregi zbrojnych.

– Moja pani, ich nie obchodzą przyczyny twojego przybycia. W ich oczach jesteś nie tylko słaba. Jesteś ofiarą.

Kratos, siwiejący zwierzchnik straży, chrząknął z aprobatą. Helena podróżowała z czterema strażnikami i służką. Była to najbardziej milcząca kobieta, jaką w życiu poznała. Od początku podróży morskiej wymieniły zaledwie kilka słów. Kratos i strażnicy okazywali rezygnację, właściwą ludziom, którzy przez całą podróż starają się pogodzić ze swoim losem.

– Co oznacza, że musimy polegać na mocy Pana, który będzie nas chronił – odparła Helena.

Antoniusz jeszcze obmyślał odpowiedź, gdy Helena pożegnała się z kapitanem skinieniem głowy i minęła szeregi marynarzy. Westchnął i podążył za nią, jej służką, Kratosem i czterema strażnikami. Sandały Heleny stuknęły już o schody.

Wojska Cezarei stały w idealnym porządku wzdłuż kamiennych doków. Za nimi znajdował się palankin z namiestnikiem. Żółty jedwabny baldachim łopotał na porannym wietrze. Firmilian i jego dworzanie oniemieli na widok schodzącej na brzeg Heleny.

Uklękła na schodach, pochyliła się ku kamieniom i ucałowała ziemię. Przez całe życie marzyła o podróży do Ziemi Świętej. Nigdy nie wyobrażała sobie jednak, że wyruszy w nią w takich okolicznościach. Okryta hańbą, odrzucona, samotna, w towarzystwie kilku obcych ludzi. I dotrze przed oblicze wrogów, którzy chcą jej śmierci.

Mogła polegać tylko na obietnicy Boga, który w tej chwili wydawał jej się bardzo odległy. Podniosła się z klęczek.

– Oto początek – oświadczyła łagodnie.

Na głośny rozkaz żołnierze stanęli na baczność. Ich miecze skrzyły się w słońcu niczym stalowy las. Helena nie zwracała na nich uwagi. Szła z Antoniuszem u jednego boku i Kratosem u drugiego. Zatrzymała się przed palankinem i skłoniła jak pokorna służka.

– To miłe z twojej strony, że przybyłeś osobiście powitać prostą pątniczkę, namiestniku.

Firmilian wyglądał jak spasiona ropucha. Nosił szatę koloru soczystej cytryny. Policzki miał tak pulchne, że jego wargi wydawały się nieustannie wydęte. W takich ustach jej tytuł brzmiał jak zniewaga.

– Augusto Heleno.

– Oboje wiemy, że ten tytuł mi nie przysługuje, panie.

– A jednak twój mąż nalega, by świat zwracał się do ciebie „imperator-ko”[c].

Oficjele zebrani wokół palankinu posłali jej pogardliwe uśmieшки. Helena wiedziała, że namiestnik chce ją zawstydzić, publicznie podkreślić jej liczne porażki życiowe.

Nie tyle wzruszyła ramionami, ile uniosła je w geście bezradności.

– Mój były mąż – powiedziała cicho. – Już nie jestem jego żoną. Oddalił mnie dawno temu.

Mężczyzna uniósł się w lektyce, sprawiając, że niewolnik trzymający najbliższy drąg aż jęknął.

– Ale Konstantyn, twój syn, twierdzi...

– Wybacz mi, panie. Konstantyn jest tylko dowódcą. Nikim więcej. Oboje o tym wiemy.

Firmilian poszukiwał w myślach czegoś, co mógłby potępić. Albo czym wzgardzić. Ale okazało się to niemożliwe, ponieważ Helena stała przed nim w całkowitej pokorze i nie rościła sobie praw do niczego. Równie dobrze mogłaby być zwykłą dziewczką, jak mówili o niej wrogowie jej syna. To dodawało gorzkości chwili, w której zwracała się do namiestnika niczym skruszona grzesznica.

Jego urzędnicy słuchali tej wymiany zdań, która wydawała im się niezłym przedstawieniem teatralnym. Helena ich zlekceważyła. Ale jeden z nich przykuł jej uwagę. Różnił się od pozostałych niczym sokół od jaskrawych ptaków śpiewających. Co więcej, sam zdawał sobie z tego sprawę. Nosił strój rzymskiego oficera, a jednak było w nim coś dziwnego. Coś oprócz zuchwałego wzroku, jakim obrzucał oficjeli. I nie chodziło tu o lśniącą zbroję. Wielu rzymskich żołnierzy nagradzano złotymi napierśnikami za wielkie zwycięstwa. Większość z nich zakładała je tylko na doniosłe okazje. Przez resztę czasu trzymano je na specjalnych stojakach, na których wyglądały jak pozbawione rąk posągi. Musieli je podziwiać wszyscy goście.

Ten człowiek był inny. Nie założył złotego napierśnika po to, by oddać cześć namiestnikowi lub podkreślić ważną okazję. Zrobił to, by zostać zauważonym. Chciał, żeby Helena go dostrzegła, przyjrzała się rysom jego twarzy, jakby wyrzeźbionym w twardym pustynnym kamieniu. Miała zauważyć groźbę w tych błyszczących czarnych oczach i wiedzieć, że będzie jego zdobyczą.

Miała się go bać.

– Co cię tu sprowadza? – spytał Firmilian.

Zmusiła się, by spojrzeć ponownie na namiestnika.

– Udaję się na pielgrzymkę.

Słowo „pielgrzymka” nie było nowe. Ale jego znaczenie zmieniło się w niepojęty sposób. Chrześcijańscy pątnicy byli ludźmi, dzięki którym podróżowały modlitwy. Jedni prosili o cud, inni zanosili modlitwy w miejsca znamienne w życiu Pana.

Grubas w palankinie uśmiechnął się szyderczo.

– A zatem to prawda. Twoja rodzina przerzuciła się na nauki tego Jezusa.

– Owszem.

– Chrześcijaństwo jest nielegalne. Jego wyznawców skazuje się na banicję. Ich zbrodnie karze się śmiercią. – Machnął ręką w kierunku ogromnych budowli królujących na szczytach wzgórz. – Rzymem rządzą rzymscy bogowie.

Helena nie odpowiedziała.

– Cóż. – Wydał wargi z niesmakiem. – Domyślam się, że potrzebujesz zaopatrzenia. I transportu. I chcesz skorzystać z królewskich pałaców.

– Niczego nie żądam.

Tym razem nie zadał sobie trudu, by ukryć zdumienie.

– Ale... jak zamierzacie podróżować? Gdzie się zatrzymacie?

– Pójdziemy piechotą, jak na pielgrzymów przystało. Będziemy rozbijać namioty. Sami zakupimy prowiant. – Skłoniła się jeszcze niżej. – Ale dziękujemy za ten wyraz szczodrości.

Niczego takiego nie powiedział. Oblał się rumieńcem na te słowa, w których czaiła się krytyka.

– Na tej drodze spotkasz jedynie pustynnych rozbójników i śmierć.

– Nasz Bóg zatroszczy się o nas.

– Gdzie twoje wojska?

– Nie mam armii. – Wskazała dłonią na służkę, Antoniusza, Kratosa i czterech strażników. – Podróżuję tylko z nimi.

Wiedziała, że namiestnik spodziewał się okrętu pełnego żołnierzy. Jej synowi podlegały wszystkie siły zachodnie od Dunaju po Mur Hadriana. To był ogromny obszar. Dlatego Firmilian spodziewał się powitać hordę zbrojnych. I z tego powodu zebrał tylu żołnierzy.

Zarechotał piskliwie.

– A więc zginiecie!

– Wszystko w rękach Boga, namiestniku. Czy byłbyś tak uprzejmy i dostarczył list do Damaszku?

– Być może. Od kogo?

– Od mojego syna. I Licyniusza.

Jego bezbarwne spojrzenie stężało. Licyniusz był ostatnio w dobrych stosunkach z Konstantynem. Choć nie wierzył, jak on, w Jezusa, nie uważał chrześcijan za wrogów.

To, że Konstantyn nie miał rangi politycznej, utrudniało sprawę jego nieprzyjaciołom. Konstantyn zwalczał każdego uzurpatora, który sięgał po tron rzymski. A jednak sam nie rościł sobie do niego praw. Większość uważała, że czekał, aż lud poprosi go o zwierzchnictwo. Ale nikt nie wiedział tego na pewno, ponieważ dowódca odmawiał odpowiedzi na takie pytania.

Namiestnik wyciągnął dłoń.

– Daj mi ten list.

Helena wyjęła zalakowany zwój. Dostarczył jej go Antoniusz, który nie miał pojęcia, jakie wieści się w nim kryją. Konstantyn przekazał mu jedynie, że sprawa jest pilna i od jej pomyślnego załatwienia zależy wiele istnień ludzkich.

– Mój syn prosi o pilne przekazanie tej wiadomości Maksyminowi. Oczywiście, gdy sam ją odczytasz i potwierdzisz, że to dokument najwyższej wagi.

Firmilian z niecierpliwością złamał pieczęć i rozwinął zwój.

– Sam ocenię, co jest ważne... – Urwał i zaczął czytać. – To szaleństwo!

– To prawo. – Helena podniosła głos, by cała świta namiestnika mogła ją usłyszeć. – Licyniusz został ogłoszony cesarzem wschodnim. On i mój syn wydali wspólny edykt zaświadcający o tym, że chrześcijanie mają stać się pełnoprawnymi obywatelami Rzymu[d].

– Tak być nie może. – Palce korpulentnego człowieka drżały gwałtownie, przez co pergamin trzepotał niczym wielki wachlarz.

– Całe mienie odebrane naśladowcom Jezusa zostanie natychmiast zwrócone – ciągnęła Helena donośnym głosem. – Wszystkie prawa należne obywatelom rzymskim zostaną im natychmiast nadane. Wszystkie kościoły, jakie zniszczono, zostaną natychmiast odbudowane na koszt państwa. Każdy chrześcijański więzień zostanie natychmiast zwolniony.

– Zapanuje chaos – mruknął Firmilian.

– Od dziś chrześcijaństwo staje się pełnoprawną religią! – zawołała Helena. – Każdy, kto potraktuje je inaczej lub będzie prześladował jego wyznawców, zostanie skazany na śmierć. To prawo, podpisane przez waszego cesarza, będzie się zwać edyktem mediolańskim.

– Szaleństwo! – Firmilian z wściekłością odrzucił pergamin na bok. – To Maksymin jest cesarzem wschodnim! Ten dokument jest bezwartościowy. Sprawę uważam za zamkniętą. – Z gniewem machnął ręką. Kiedy palankin odwrócono, obrzucił spojrzeniem mężczyznę, który stał z boku, w sporej odległości od pozostałych. – A twoje kości wkrótce będą się smażyć w pustynnym słońcu – rzucił przez ramię do Heleny.

[c] W rzeczywistości tytuł augusty nadał Helenie dopiero syn po wstąpieniu

na cesarski tron (przyp. red.).

[d] W rzeczywistości Licyniusz został cesarzem wschodnim trzy miesiące po śmierci Konstancjusza, ojca Konstantyna. Wcześniej legiony Konstancjusza, rządzącego Zachodem, ogłosiły augustem Konstantyna, któremu oficjalnie przyznano jednak tylko tytuł cezara (augustem został później). Konstantyn i Licyniusz wydali edykt mediolański dopiero w 313 roku. Jego główną tezą była wolność wyznania w cesarstwie (przyp. red.).

Helena przeszła główną ulicą i skierowała się w stronę areny. Nagle złapała się na tym, że wspomina dom, którego przecież już nigdy nie zobaczy. To właśnie z niego wyprowadził ją niegdyś oddział zbrojnych na czele z Kratosem, obecnie jej głównym strażnikiem.

Miała mnóstwo ważniejszych spraw do przemyślenia. Pierwsze na liście było, rzecz jasna, pytanie o to, czy przeżyje kilka następnych dni. Ale w tej chwili wróciły do niej dawne urazy. Ledwo widziała drogę przed sobą.

Kiedy poznała swego przyszłego męża, zarządzał on rzymską prowincją. Nieco później awansował na namiestnika Dalmacji, którą zamieszkiwały wojownicze plemiona. Większość czasu spędzał z dala od domu. Kiedy wracał, wypełniał go wesołym śmiechem i żarliwą miłością do Konstantyna, ich jedyne dziecko. Mieszkali w willi u podnóża gór, ze wspaniałym widokiem na wybrzeże i morze. Wzniesiono ją z nieoszlifowanego granitu. Jak przystało na rzymski budynek, była raczej skromna.

To miejsce służyło Helenie. Przyroda wydawała się tu tak samo surowa i dzika jak w jej ojczyźnie, a pogoda okazała się o wiele bardziej przyjazna: przez całe lato wiały chłodne morskie wiatry, zimą zaś wzgórza chroniły ludzi przed najgorszymi wichurami. Helena wychowywała syna i czekała na powroty męża z licznych wypraw. Nie wymagała od życia niczego więcej.

Aż do pewnego dnia, kiedy to na dziedziniec jej domostwa wkroczyło wojsko.

Każda żona dowódcy zna niepokój, jaki budzi widok żołnierzy powracających bez jej ukochanego. Helena latami lękała się posłańca, który przyniesie jej czarny wieniec na znak wdowieństwa. Ale żadne okoliczności ani czas nie mogły przygotować jej na tamten poranek. Rozpoznała dowódcę, weterana, który w przeszłości kilkakrotnie nocował w obozisku jej ojca.

– Kratosie, to ty?

– Tak, wasza wysokość. To ja.

Dostrzegła jego zmęczenie, błoto i pot pokrywające konie, skrajne wyczerpanie żołnierzy.

– Może chcielibyście zażyć kąpieli? Słudzy przygotowują posiłek...

– Wasza wysokość, wieści nie mogą czekać.

Patrzyła, jak Kratos zsuwa się z końskiego grzbietu. Miała nadzieję, że nogi się pod nią nie ugną.

– Mów zatem.

– Może powinniśmy wejść do środka.

– Czy twoi ludzie znają wieści?

– Tak, wasza wysokość. To...

Chwyciła się poręczy.

– Powiedz mi.

Miał tyle taktu, by okazać jej szczerze współczucie.

– Zostałaś oddalona.

– Ja... Co takiego?

– Twój mąż cię porzucił.

Kratos wpatrywał się w horyzont, jakby w oczekiwaniu na wroga wartego jego gniewu.

– Nakazuje ci odejść.

– Odejść?! Z mojego domu?! Ale dokąd mam...

– Wasza wysokość, twój syn już wie. Zaprasza cię do siebie.

Poczuła, że jej umysł staje się ociężały. Jakby zmagiła się z niewidocznym nurtem. I traciła zmysły.

– Mój syn i jego armia walczą o życie.

– Tak, pani, to ponury marsz. Ale jeśli ktokolwiek ma przetrwać, będzie to Konstantyn.

Pocieszył ją ten podziw u starego żołnierza.

– Ile mam czasu?

Ponownie się nachmurzył.

– Tylko tyle, ile będzie trzeba.

Zdała sobie sprawę z tego, że przysłano go, by w razie konieczności zmusił ją do wyprowadzki. Zwalczyła w sobie gorzki żal.

– Odświeżcie się po podróży.

Kratos przestępował z nogi na nogę.

– Wasza wysokość, otrzymaliśmy rozkaz, by pomóc ci odejść jak najszybciej.

– I tak też się stanie. Ale najpierw musicie odpocząć, zażyć kąpieli i zjeść porządny posiłek.

Z trudem odwróciła się i weszła po schodach, nie zachwiawszy się ani razu. Jest przecież żoną żołnierza. Albo nią była, do tego dnia.

– Wyruszymy jutro.

Podróż Heleny z domu w Dalmacji do siedziby syna w południowych Alpach zajęła ponad miesiąc. Nim dotarli na miejsce, ona i Kratos się zaprzyjaźnili. Syn Heleny docenił ich relację i zarządził, by Kratos został dowódcą osobistej straży matki.

Helena nie miała pojęcia, jak Kratos postrzega ten obowiązek teraz, kiedy oboje stawiali czoła realnemu zagrożeniu śmiercią w drodze do Jerozolimy. Oczywiście, ostrzegła go. Kratos odpowiedział, że dał słowo Konstantynowi. Bę-

dzie jej bronił do ostatniego tchu. Uważał to za zaszczyt. Powiedział, że będzie jej wdzięczny, jeśli już nigdy nie zwątpi w jego lojalność. Była to najdłuższa wypowiedź, jaką do tej pory słyszała z jego ust.

– Potrzebujemy zaopatrzenia na podróż. I jucznych mułów – powiedziała do niego, kiedy główna droga złączyła się z alejką prowadzącą do areny.

– Musimy mieć konie, pani. Muły okropnie trzęsą. U końca podróży znienawidzilibyśmy je.

– Być może, gdybyśmy mieli zamiar ich dosiąść. Ja nie zamierzam.

Rzadko kiedy okazywał zdziwienie. Ale teraz wbił w nią wzrok.

– Chyba nie chcesz iść pieszo? Nie całą drogę...

– Słyszałeś, co powiedziałam namiestnikowi. Przybyłam jako pątniczka.

Wyruszę na piechotę.

– Ale pani...

– Kup sobie, co chcesz. Konia, tuzin koni, a nawet rydwan. Ale ja pójdę na własnych nogach. – Zakończyła dyskusję. Po chwili zwróciła się do Antoniusza: – Ten mężczyzna, który stał ze zwykłymi żołnierzami, ale nie był jednym z nich... Rzymski oficer w złotym napierśniku...

– Widziałem go. Nie jest rodowitym Rzymianinem.

Ceniła jego spostrzegawczość i to, że mówił bez ogródek.

– Któż to?

– Twoja zagłada.

– Znasz go?

– Znam ten typ. To wyszkolony zabójca.

Starła się przypomnieć sobie swoją wizję, wzbudzić w sobie spokój, ale nie zdołała.

– I ja odniosłam takie wrażenie.

– Mam dowiedzieć się o nim czegoś więcej?

– A czy to ma jakieś znaczenie?

Posłał jej posępny uśmiech.

– Zapewne nie.

Postanowiła powtórzyć mu słowa, które skierowała do niego poprzedniego dnia o zachodzie słońca.

– Nie musisz ze mną zostawać, Antoniuszu.

Wydawał się szczerze zaskoczony.

– Czyż nie zeszlśmy już na tę ziemię?

Ale ona chciała być całkowicie pewna jego decyzji.

– Przybyłeś tu jako posłaniec. Wykonałeś rozkaz. List został dostarczony.

Możesz odejść.

– Moja pani, twój syn prosił mnie, bym upewnił się, że jesteś bezpieczna. Mam zamiar ci to zapewniać tak długo, jak będę do tego zdolny.

- Prosił cię. Nie nakazał.
- Prośba, rozkaz – to jedno i to samo.
- Dla mnie nie. A jeśli rozkazałabym ci odejść?
- Przede wszystkim jestem lojalny wobec twojego syna. Nie będę umiał spojrzeć mu w twarz, jeśli nie upewnię się, że uczyniłem, co było w mojej mocy, by spełnić jego prośbę.

Kratos szedł krok za nimi i słuchał uważnie. Uznał odpowiedź Antoniusza za mocne zapewnienie, że oto podwładny spełnił wymagania godne dowódcy. W tej samej chwili stary żołnierz odwrócił się i odszedł.

Helena pokiwała głową z aprobatą.

- Pójdź ze mną.

Wszystko, co dotyczyło matki Konstantyna, pozostawało dla Antoniusza wielką niewiadomą. A on nie lubił niepewności. Bardziej od niej nie znosił jedynie popełniania błędów na polu bitwy. Był ulubieńcem żołnierzy, ponieważ cenił ich zdolności i życie. Należał do tego rzadkiego typu oficerów, którzy wyprowadzali ludzi cało ze starć. To łączyło go z Konstantynem.

Kiedy szli schodami prowadzącymi do wnętrza areny, odezwał się nagle:

– Czy mogę spytać, co tu robimy, pani?

– Potrzebujemy wskazówki.

– Myślałem, że zmierzamy do Jerozolimy. – Prawie dodał: „O ile nasi wrogowie nam na to pozwolą”. Kiedy dowiedział się, że będą szli piechotą, uznał wszelkie dyskusje za daremne. Bez koni i tak nie będą mieli szansy ucieczki, jeśli zostaną zaatakowani. A to, jego zdaniem, miało nastąpić zaraz po minięciu bram miasta.

– Będziemy musieli zrobić sobie postój w drodze. Mam nadzieję, że ktoś tutaj podpowie nam, gdzie to uczynić – powiedziała jedynie Helena.

Antoniusz dobył krótkiego miecza i gałką umieszczoną na rękojeści uderzył w bramę. Kilka chwil później przeszkoda ustąpiła. Starszym dozorcą więziennym okazał się osilek o klatce piersiowej wielkiej jak dębowa beczka. Gdy płomień pochodni oświetlił stojącego przed nim oficera, oddał mu cześć, przykładając pięść do piersi.

– Czego sobie życzysz, panie?

Ale zamiast Antoniusza odezwała się Helena.

– Trzymacie tu chrześcijan?

W imperium dozorcami więziennymi często zostawali zhańbieni legioniści, którym ten obowiązek powierzano za karę. Wraz z załogami żyli oni w ciemnych kamiennych izbach, niewidoczni dla tłumów, odseparowani od krzyków i uciech dopóty, dopóki zwierzchnicy nie uznali, że ich służba dobiegła końca. Wielu dokończyło żywota w zatęchłych piwnicach. Byli podobnie zniewoleni jak nieszczęśnicy, których posyłali na arenę na śmierć.

Dozorca obrzucił wzrokiem prostą szatę Heleny i spojrział niepewnie na towarzysza kobiety.

– Odpowiedz pani – rozkazał mu Antoniusz.

– To miejsce jest w tej chwili puste jak dopiero co wykopany grób, pani. Na najbliższy miesiąc lub nawet dłużej nie planuje się żadnych arenowych rozrywek.

– Gdzie zatem są teraz wyznawcy Jezusa? – Kiedy dozorca się zawahał, Helena westchnęła. – Podejdz. Doskonale znam reputację waszych zwierzchników. Cesarz gorliwie ściga chrześcijan i sprzedaje ich do walk jak zwierzęta.

Dozorca wskazał pochodnią na południe.

– Wszystkich trzymają w kopalni miedzi na wybrzeżu. To miejsce zwie się Phanaeo.

– Domyślam się, że są tam traktowani okrutnie – szepnęła Helena.

– Niektórzy powiadają, że więźniowie nie mogą się doczekać areny – potwierdził dozorca. – Przynajmniej ujrzą wtedy koniec swoich cierpień.

– W takim razie udamy się tam. – Zaczęła się odwracać, ale zapytała jeszcze: – Jak cię zwa, dobry panie?

Dozorca osłupiał. Antoniusz doskonale rozumiał powód. Przez otwartą bramę docierały do nich cuchnące opary. Dozorca kleił się od brudu i w ogóle wyglądał jak bestia zamieszkująca jaskinię. A jednak ta skromna kobieta o manierach królowej spytała go o imię i nazwała „panem”.

– Janius, pani.

– Pan Jezus zstąpił na ziemię, Janusie, by przynieść światu światło. Powierz Mu swoje życie, a On nagrodzi cię nadzieją, która nie zgaśnie nawet w tym okropnym miejscu. Zważ na moje słowa. – Zwróciła się do Antoniusza. – Chodźmy. Musimy spełnić swój obowiązek.

Kiedy wrócili do portu, Kratos czekał na nich z siedmioma mułami obładowanymi zaopatrzeniem. Weteran stał przy brzegu, podczas gdy Helena i jej milcząca służka weszły na pokład, by zabrać swoje rzeczy.

– Nie ma szans, by wsiadła na konia, prawda? – Kratos spytał cicho Antoniusza.

– Żadnych.

– Tak myślałem. – Kratos, mrużąc oczy, spoglądał na skąpane w słońcu wzgórze. – To miejsce jest chyba tak samo dobre na śmierć jak każde inne.

Antoniusz pojął niewypowiedziane przesłanie tej wymiany zdań. Po dołączeniu do Heleny i pozostałych na Cyprze spędził podróż we względnym odosobnieniu. Nawykł do zwartych społeczności, które uważnie przyglądały się postronnym, zanim powitały ich w gronie wtajemniczonych. Tymczasem Kratos gdzieś po drodze postanowił przyjąć go w ich szeregi.

– Dlaczego tu jesteś?

– Jestem z panią od czasu jej oddalenia przez męża.

– Słyszałem plotki.

– Nie łudzę się, że którykolwiek z żołnierzy Konstantyna ich nie słyszał. – Kratos opowiedział mu o dniu spotkania z Heleną bez namysłu, jak żołnierz składający raport. – Cóż, zareagowała, jak przystało na cesarzową. Nie uroniła ani jednej łzy, nie lamentowała. Nie powiedziała słowa przeciwko mężczyźnie, który okrył ją hańbą przed całym światem. Do czasu przybycia do obozu Konstantyna przekonałem się, że nikomu innemu nie chciałbym służyć.

– Nawet teraz?

Kratos miał harde spojrzenie człowieka, który setki albo więcej razy zaglądał śmierci w oczy.

– Pani przyprowadziła mnie do Jezusa. A teraz mnie potrzebuje. I oto jestem dla niej. I dla Pana, który prowadzi nas oboje.

– Opowiadała ci o swojej wizji?

– Mówiła tylko, że Pan do niej przemówił i nakazał tu przybyć. – Kratos nadal mrużył oczy. – Ona ma w sobie coś z dowódcy. Wie, kiedy trzeba uważać na słowa.

Antoniusz zdał sobie sprawę z tego, że bardzo polubił tego człowieka.

– Kiedy zostałeś żołnierzem?

– W wieku szesnastu lat. Wcześniej byłem opryszkiem. Żyłem z dnia na dzień. Mogłem albo zostać żołnierzem, albo głodować. A ty?

– Mój ojciec był kupcem zaopatrującym armię Konstantyna.

– O tak, słyszałem o tym. To chyba dobre życie.

– Doprowadzało mnie do łez – przyznał się Antoniusz. – Tłumy są dla mnie gorsze niż marsz hańby.

– Taki chyba los żołnierza. Odmieńcy, każdy z osobna i wszyscy razem. – Kratos urwał na chwilę. – Konstantyn poprosił cię, byś tu został?

– Niezupełnie. Powiedział tylko: „Upewnij się, że jest bezpieczna”.

– Nikt nie jest zdolny tego uczynić. Nikt prócz Pana Niebios. Ale nawet On może mieć w trakcie tej podróży ręce pełne roboty. – Kratos zaczął się odwracać, ale zatrzymał się i powiedział: – Tak czy inaczej, dobrze, że z nami jesteś.

Antoniusz wciąż poszukiwał odpowiedzi, gdy Helena ponownie do nich dołączyła. Obserwował, jak Kratos pomaga jej, a potem służce załadować pakunki na ostatniego muła. Jego ruchy stanowiły szorstki wyraz żołnierskiej czułości. W końcu pomagał dwóm kobietom przygotować się do ostatniej podróży. Okazywał im serdeczność, której nawet nie zauważały. Antoniusz pożegnał kapitana statku, po czym poprowadził swoją niewielką załogę głównym traktem za port.

Gdziekolwiek szli, ludzie zatrzymywali się i gapili na nich. Żołnierze, kupcy, oficjele, zwykli obywatele, niewolnicy. Reakcje były zawsze takie same. Nikt nic nie mówił. Nawet dzieci mijaly ich w ciszy. Antoniusz próbował sobie wmówić, że o to nie dba. Ta kobieta, która kiedyś była cesarzową, a teraz kroczyła z godnością, ubrana w szare chłopskie odzienie, podjęła już decyzję. On także powziął postanowienie. Zdecydował, że najważniejsze to nie przejmować się ludźmi, z którymi idzie. Wtedy nie będzie tak trudno pozwolić im umrzeć. A to na pewno się stanie. To tylko kwestia godzin, najwyżej dni.

Światło odbite od złotego napierśnika padło prosto na Antoniusza. Mężczyzna, który wcześniej drwił sobie z nich, obserwował ich teraz ze szczytu wzgórze. Obok niego wznosiła się świątynia Jowisza. Zabójca oparł ręce na biodrach.

Kpił sobie z ich grupy postawą i szyderczym uśmiechem.

Kratos przyspieszył, by dorównać kroku Antoniuszowi. Lejce muła trzymał w lewej ręce. Prawą w każdej chwili mógł dobyć miecza. Spojrzał spode łba w kierunku wroga.

– Pytałem ludzi o tego tam. Ma na imię Sewerus i pochodzi z Partii. To rozbójnik na usługach cesarza z Damaszku.

– Nie uważam Maksymina za cesarza – mruknął Antoniusz. Znał takich jak Sewerus. Czerpali przyjemność ze śmierci. Wykazywali się szczególnym kunsztem w swoim fachu, a uznanie ze strony władców przynosiło im więcej satysfakcji niż skrupułów. – A Sewerus nie zaatakuję teraz.

Kratos chrząknął z aprobatą.

– Nie ludź się, że mamy jakiegokolwiek szanse poza Cezareą.

Antoniusz zmusił się, by odwrócić wzrok.

– Jeśli da mi szansę, stawię mu czoła w pojedynku.

– Ten człowiek na to nie pójdzie. Znam ten typ. Podejdzie cię zniecacka. Jeśli będzie zmuszony zaatakować jawnie, zrobi to dziesięć razy szybciej od nas. Nie dba o honor. Zabija, idzie dalej, znowu zabija. – Kratos wyciągnął pięść w kierunku mężczyzny ze wzgórza. – Nie okaże nam więcej żalu niż resztkom posiłku.

Antoniusz starał się wmówić sobie, że to zaszczytny koniec. Przecież to, że zaoferowano mu coś, czego szukał przez ostatni rok, powinno przynieść mu zadowolenie, a przynajmniej pogodzenie się z samym sobą.

Ale zalała go fala żalu. Czuł się, jakby kogoś zawodził. Oczywiście, był to absurd. To tylko jego życie, niczyje inne, roztrzaskało się na kawałki.

Cezareę wzniesli ludzie obdarzeni zmysłem militarnym. Wzgórza na wschodzie tworzyły naturalną fortecę, która chroniła zarówno miasto, jak i port. Dwie doliny wychodziły niejako z wnętrza miasta niczym rozpostarte ramiona. Antoniusz, Helena i pozostali ruszyli południowym przejściem.

W miarę ich marszu dolina coraz bardziej rozszerzała się i stawała coraz bardziej płaska. Pokrywała ją bujna zieleń starannie pielęgnowanych pastwisk. Siedziba garnizonu – kamienny kolos, symbol okrutnej potęgi – królowała na ostatnim wzgórzu. Wędrowcy zatrzymali się w jej opiekuńczym cieniu. Antoniusz postanowił, że przenocują nieopodal, nie sposób bowiem było stwierdzić, gdzie znajduje się następne bezpieczne miejsce na postój.

Pasterz użyczył im swojej zagrody. Antoniusz i Kratos udali się na rynek, by zakupić ostatnie potrzebne rzeczy na podróż. Napotkany kupiec ostrzegł ich, że na drodze do Phanaeo panuje nieustanna susza. Antoniusz nabył więc jeszcze jedno zwierzę do niesienia samych bukłaków z wodą i lokalnych owoców.

Na kolację upiekli kozę, którą przyprawili tymiankiem, miętą i kolendrą. Zjedli prawie całe zwierzę. Było to ich pierwsze świeże mięsiwo od czasu, kiedy opuścili Cypr. Po posiłku Helena udała się do swego namiotu. Antoniusz wolał spać pod gołym niebem, by jego zmysły pozostały wyczulone i uprzedziły go o potencjalnym ataku. Rozglądał się bacznie dookoła. Był w stanie dostrzec jedynie kontury groźnie wyglądającej twierdzy. Podszedł do kupieckich wielbłądów, które uznał za najdziwniejsze stworzenia na świecie.

W pewnej chwili usłyszał za sobą czyjś głos.

– Czy nigdy wcześniej nie widziałeś wielbłąda, czcigodny panie?

Antoniusz odwrócił się gwałtownie. W jego stronę zmierzał żebrak. Miał na sobie brudną szatę nieokreślonego koloru. W miejscu jego jednego oka ziała czarna dziura, w drugim zaś tlił się błysk. Człowiek ten odezwał się do Antoniusza, używając doskonałej łaciny.

– Widywałem je tylko na rycinach – odparł Antoniusz.

– A zatem czcigodny pan nigdy nie gościł w Judei.

– To moja pierwsza podróż na te ziemie.

– Doprawdy, wielbłądy to cudowne stworzenia. Moim zdaniem, są jednym z najbardziej zdumiewających dokonań Boga. – Mężczyzna podpierał się na długiej lasce. Utykał. Rana na jego lewej kostce nie wyglądała dobrze. – Mogą wiele dni iść bez wody, przebyć długą drogę między wodopojami i dźwigać ciężar równy swojej wadze.

– Czy wszyscy tutejsi żebracy posługują się tak doskonałą łaciną?

Pomimo łachmanów i ran biedak miał silne poczucie godności.

– Czy prosiłem cię o cokolwiek, czcigodny panie?

– Jeszcze nie.
– Czy nie sądzisz zatem, że nazwanie mnie żebrakiem jest nieco przedwcześnie?

Antoniusz złapał się na uśmiechu.

– Założę się, że nie odmówisz, jeśli zaproponuję ci coś do jedzenia.
– Jakże ktoś dobrze wychowany mógłby odrzucić podobną propozycję?
– Zaczekaj tutaj. – Antoniusz podszedł do ogniska i sięgnął po jeden z ostatnich kawałków pieczonego mięsa. Kiedy wrócił, mężczyzna kucnął przy wielbłądach. Antoniusz obserwował, jak zamyka zdrowe oko i pochyla się nad mięsiwem.

Antoniusz raz jeszcze poszedł do obozowiska i przyniósł mu kubek wody.

Biedak jadł i pił niemal z gracją, jakby uczono go jadać przy królewskim stole. Ale drzenie palców i chudość świadczyły o tym, że był wygłodzony. – Czy mogę spytać, kim jest ta pani, która prowadzi wasz skromny oddział?

– Czy jesteś szpiegiem rozbójników?
– Dobry panie, noszę wiele imion. Nie jestem jednak ani szpiegiem, ani bandytą.

Antoniusz kucnął obok mężczyzny.

– Gdzie nauczyłeś się łaciny?
– Tam, gdzie ty, jak sądzę. Od nauczyciela wynajętego przez moich rodziców, który wbił ją do mojej odpornej głowy. – Wytarł palce o rąbek szaty. – A także grekę, hebrajski i trochę partyjskiego, którego staram się nie zapomnieć. Wstrętny język. Pasuje do oprychów, na których z pewnością wkrótce się natkniecie.

– A mimo to jesteś tutaj...

– Jako gość przy twoim znakomitym stole – mężczyzna się uśmiechnął. Miał piękne zęby, a w jego zdrowym oku dostrzegało się błysk nieskrywanej pogody ducha. – Od dłuższego czasu nie jadłem tak dobrze.

– Mamy jeszcze.

– Nie ośmieliłbym się zjeść więcej. Ale z radością przyjmę cokolwiek, czym możecie podzielić się z mniej obdarowanymi przez los. – Kiedy Antoniusz się podniósł, biedak dodał: – Będę twoim dłużnikiem, jeśli pozwolisz mi zamienić słowo z twoją panią.

Antoniusz obserwował, jak nieznajomy z trudem wstaje. Kiedy wyciągnął do niego dłoń, biedak odrzucił pomoc.

– Dlaczego ktokolwiek z moich kompanów miałby rozmawiać z człowiekiem, który nie jest żebrakiem?

– Są tacy, którzy cenią sobie moje rady. – Po raz pierwszy całkowicie się wyprostował. Okazało się, że jest wzrostu Antoniusza, który przerastał większość mężczyzn o głowę. – Szczególnie ci, którzy udają się tam, gdzie wy. O ile rzeczywiście zmierzacie do Jerozolimy.

Antoniusz zdał sobie sprawę z tego, że stoi przed człowiekiem, którego god-

ność opiera się nawet łachmanom i brudowi.

– Jak cię zwa?

– Jestem Makariusz, biskup Jerozolimy. – Tym razem posłał mu uśmiech pełen zgryzoty. – Upadły człowiek stojący na czele zniszczonego Kościoła ze zbezczeszczonego miasta.

Następnego ranka Helena obudziła się rozdarta. Przez lata jej życie opanowała samotność. Zabrano jej przyjaciół, których miała w Dalmacji, pozbawiono ją domu. Zbliżyła się niegdyś do podstarzałego duszpasterza, który podróżował dawniej z armią Konstantyna. Ale w drodze z Włoch zabrała go gorączka. Od tamtej pory Helena nie miała z kim porozmawiać. Aż do minionej nocy.

Z niebezpieczną łatwością przyszło jej podzielenie się z tym nieznanym obawami i wątpliwościami. Teraz, w świetle poranka, wstydziła się swojej słabości. W żadnej, choćby najdoskonalszej dziedzinie ziemskiego życia nie zdarzały się spotkania czy rozmowy, w których druga strona nie miałaby jakiegoś celu. Helena doświadczyła tej gorzkiej prawdy na wszelkie możliwe sposoby. Odrzuciła płachtę stanowiącą wejście do namiotu, gotowa stanąć twarzą w twarz z tym samozwańczym biskupem w świetle nowego dnia i pogodzić się z tym, że znów stała się ofiarą manipulacji.

Ale zamiast tego, nim skończyła wspólny posiłek z tym człowiekiem, usłyszała własne słowa:

– Czy zechciałbyś wejść do mojego namiotu?

– Oczywiście, wasza wysokość.

– Proszę, żebyś się tak do mnie nie zwracał.

– A ja nie powinienem zmuszać cię do wystosowania tej prośby. – Skłonił się, wsparty na lasce. – Moja pani.

– Kiedy ruszamy? – spytał Kratos.

– Wkrótce. Spakujcie wszystko oprócz namiotu. – Uchyliła płachtę. – Proszę.

Kiedy weszli do środka, wskazała na jedyne niewielkie krzeselko. Ale zamiast zająć miejsce, Makariusz przeszedł na drugą stronę namiotu i oparł się na swojej lasce, by to Helena usiadła. Jej służka stała przy wejściu. Mogła ich obserwować, a jednocześnie nie kłopotowała ich swoją obecnością. Głowę Heleny zalewały złe myśli.

– Boję się, że przybyłam tu tylko po to, by rozczarować mego Boga.

– Bardzo wątpię, moja pani, by tak było.

– Naprawdę? – Opowiedziała mu o poranku, który wrył się w jej serce i umysł. O dniu, w którym pojawił się Kratos. Dniu, w którym jej świat i życie legły w gruzach. – Nigdy nie przyniosłam mojemu mężowi wstydu. Nigdy nie żądałam

drogiej biżuterii czy willi w Rzymie. A miałam do tego prawo. Cieszyłam się, że mogę stworzyć dla niego bezpieczną przystań. Miejsce, do którego będzie wracał, gdzie znajdzie spokój i schronienie. Nawet kiedy dotarły do mnie pogłoski o jego prowadzeniu się na wyprawach, nie wpadałam w złość, nie okazywałam mu ani odrobiny goryczy czy zazdrości.

– Zasługiwałaś na więcej.

Zdała sobie sprawę z tego, że walczy z nagłym napływem łez. To absurd. Przecież nigdy nie płakała.

– Przestrzegałam świętości naszej przysięgi. I jak mi się odpłacił?

– Zhańbił cię przed światem.

– W sercu nie jestem zdolna mu przebaczyć. Kiedy wypowiadam to na głos, wpadam w jeszcze większy gniew. Chciałabym, żeby okrył się hańbą, by go upokorzono tak jak mnie. Chciałabym...

– Chcesz, by zapłacił za swoje czyny. Chcesz dla niego kary. Chcesz, by został napiętnowany, pobity, publicznie ubiczowany. Chcesz, by był martwy.

– To okropne, prawda?

Kapłan o skórze pokrytej bliznami wzruszył ramionami.

– To ludzkie.

– Ale Bóg nie wezwał mnie do bycia ludzką. Powołał mnie do swojego zadania. A co, jeżeli zawiedziemy przez mój gniew? Jeśli przyczynię się do śmierci wszystkich moich towarzyszy?

Makariusz ścisnął laskę obiema rękami. Drewno w tym miejscu było gładkie i błyszczące.

– Ten człowiek, który nosi złoty napierśnik... Wiesz, o kim mówię?

– Sewerus. – Otarła twarz. – Widziałam go. Antoniusz nazywa go zabójcą.

– I on nim jest. A nawet więcej. Napadł na chrześcijan w Jerozolimie. Zażądał moje owieczki z beztroską, jakby zabijał muchy. Zniszczył nasz kościół. Odebrał mi żonę i córkę. Dwa światła mojego serca zginęły pod jego nożem.

– Tak mi przykro!

– Kiedy je mordował, patrzył na mnie i się uśmiechał. Jakby mój ból sprawiał mu największą radość. A potem użył tego samego noża, by zadać mi te rany. Wymieszać moją krew...

– Proszę, przestań.

– Moja pani, nie jesteś jedyną osobą przekonaną o tym, że zawiodła Pana. Wiem, powinienem przebaczyć temu człowiekowi. To część mojego powołania. A jednak...

Helena z jakiegoś powodu potraktowała jego słowa jako przyzwolenie, którego potrzebowała. Pochyliła głowę do kolan i zapłakała.

Makariusz dalej gładził swoją laskę.

– Jesteśmy ludźmi, ty i ja. Niedoskonałymi naczyniami powołanymi do rze-

czy niemożliwych.

– Co mam zrobić? – powiedziała, skrywając twarz w dłoniach.

– To samo co ja, moja pani. To samo co cała ludzkość. Jesteśmy powołani do czynienia wszystkiego, co w naszej mocy. I do ufności, że Bóg uczyni resztę.

Słowo „biskup” pochodzi od greckiego określenia nadzorcy, strażnika – wyjaśnił Makariusz, kiedy ruszyli w drogę. – Gdy wszyscy apostołowie pomarli, rozmaite wspólnoty potrzebowały starszych mędrców lub diakonów, którzy mogliby przemawiać za wszystkich członków. Wybierano ich tak samo jak ostatniego apostoła.

Antoniusz wiedział o tym, ale nie przeszkadzały mu opowieści biskupa. Makariusz miał na sobie nowe szare odzienie. Podarowała mu je Helena, kiedy zgodził się do nich dołączyć. Jechał na osle, rześki i pogodny.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, że najprawdopodobniej zmierzasz na spotkanie śmierci? – spytał Antoniusz.

– Gdybym bał się śmierci, młodzieńcze, nigdy nie zgodziłbym się przewodniczyć wspólnocie jerozolimskiej – odparł biskup beztrąsko. – Znasz dekret cesarza Dioklecjana?

– Owszem. – Dioklecjan był największym wrogiem chrześcijan. Inni cesarze, zwłaszcza Neron, ścigali wspólnotę dla rozrywki lub sportu. Ale Dioklecjan posunął się o wiele dalej. Ogłosił dekret skazujący każdego chrześcijanina żyjącego w rzymskim świecie na śmierć lub niewolę. Kościoły zostały spalone, a mienie skonfiskowane. Kara dosięgała wszystkich członków rodziny wierzącego, nawet noworodków. Nikogo nie oszczędzano. Żadne bestialstwo nie wydawało się zbyt okrutne.

– Do najwierniejszych wyznawców idei Dioklecjana należą Firmilian, namiestnik Judei, i Maksymin, cesarz z Damaszku. Obaj są niewolnikami przyjemności. Dają do zrozumienia, że to oni są dobrzy, a my źli. Rozkoszują się cierpieniami chrześcijan.

– I to właśnie powód... – zaczął Antoniusz – dla którego popełniasz samobójstwo, podróżując z nami.

– Mylisz się, młody człowieku – odpowiedział Makariusz pogodnie. – Mylisz się.

– Zabójca zaczeka, aż znajdziemy się w górach – przewidywał Antoniusz. – A potem nas zarżnie. Do ostatniego człowieka, do ostatniego zwierzęcia. Firmilian i Maksymin będą utrzymywać, że edykt Konstantina nigdy do nich nie dotarł. I dalej będą robić, co zechcą.

– Zapominasz o jednej rzeczy.

– Jakiej?

Makariusz posłał mu szelmowski uśmiech.

– O potędze cudów.

Wzrok Antoniusza przyciągnęła kobieta pracująca na polu leżącym przy drodze wybudowanej w rzymskim stylu. Z uwagi na bliskość stolicy droga ta była

równie zadbane jak pola, gładko wybrukowana i podwyższona, by zatrzymać powódzie. Antoniusz obserwował, jak kobieta zrywa rzepak i wrzuca go do wiklinowego kosza. Zwrócił też uwagę na dziecko na jej plecach. Kiedy matka się poruszała, słońce muskało jego skórę. Dziecko machało rączkami, próbując złapać pojawiające się promyki, i gaworzyło przy tej zabawie. Antoniusz pomyślał o innej kobiecie i dziecku. O tych, których utracił. Potrząsnął głową w nagłym przypływie żalu.

– Wiem wszystko o modlitwie o cuda, które nigdy nie następują.

Przyspieszył kroku i oddalił się od biskupa. Minał zwierzęta juczne i zrównał się ze starszym strażnikiem, który szedł sam. Kratos osiągnął już słuszny wiek, ale jego siła temu przeczyła. Jego nozdrza były rozszerzone jak u konia na polu bitwy. Spojrzał przed siebie i odetchnął głęboko.

– Czuję krew, której jeszcze nie przelano.

Antoniusz robił wszystko, by nie zwracać już uwagi na młodą matkę i szczęśliwe dziecko. Przyglądał się okolicznym terenom. Po obu stronach drogi rozciągało się morze bujnej zieleni. Był maj. Rolnicy pracowali, a Antoniusz wdychał zapach palonego drewna, zwierząt, ziemi uprawnej i świeżych przypraw. Gdzieś po lewej stronie musiał też być sad, ponieważ z każdym powiewem wschodniej bryzy w powietrzu wyczuwało się woń kwiatów.

– Uważasz, że się mylę? – spytał Kratos.

Antoniusz zawahał się na chwilę. Nie miał jednak powodu, by nie odpowiadać.

– Obawiam się, że masz rację.

– Mam nadzieję i modłę się o to, by pani Helena nie pomyliła się co do cudów, które mamy w zanadrzu.

– Makariusz się z nią zgadza, o ile to ma znaczenie.

– Jest dziwny jak na żebraka. – Weteran zerknął za siebie. Antoniusz uczynił podobnie. Zauważył, że Helena zajęła jego miejsce. Szła przy ośle kapłana, pochłonięta rozmową. Makariusz odwzajemnił ich spojrzenia i radośnie pomachał do nich ręką.

– Wierzysz w jego słowa? W to, że jest biskupem i tak dalej? – spytał Kratos.

– Chyba tak.

– Helena także. – Kratos potarł stwardniałą od walki dłońią gałkę wieńczącą rękojeść miecza. – Gdybym był naszym wrogiem, wiesz, gdzie bym uderzył?

– Owszem. – Antoniusz wskazał miejsce, w którym droga zaczynała wic się przez wzgórza na południu. – Zaraz za pierwszym zakrętem, tam, gdzie droga znika za głazami.

Były dowódca raz jeszcze pociągnął nosem i splunął na zawietrzną.

– Niewiele możemy zrobić. Kilku zbrojnych i kaleka... Właściwie nic prócz

walki do ostatniej kropli krwi i śmierci godnej rzymskich żołnierzy.

Helenie zdawało się, że wzgórza na południu przez cały dzień z nich drwiły. Choć szli godzinami, ani trochę się nie przybliżyły. Powietrze było rześkie, a wiatr wiał od strony lądu, co utrzymywało morską bryzę z daleka. Do popołudnia panował przeraźliwy upał. Helenę bolał każdy mięsień. Brak codziennego ruchu dawał o sobie znać. Czowała na sobie wzrok Antoniusza, robiła więc, co mogła, by ukryć wyczerpanie. Wreszcie centurion podszedł do niej.

– Może powinniśmy skorzystać z gościny któregoś z tych rolników, moja pani. Kratos wyczuwa niebezpieczeństwo. Ja również. Nie ma się co spieszyć w objęcia śmierci.

– Bóg się o nas zatroszczy. – Helena spojrzała za siebie i nie dostrzegła już wieży strzegącej wejścia do Cezarei. Droga biegła prosto, jej koniec zasnuła popołudniowa mgła. Helena odwróciła się do Antoniusza, który czekał na jej odpowiedź.

– Nie będziemy sypiać pod niczym dachem dopóty, dopóki moja pielgrzymka nie dobiegnie końca – odparła.

Pokiwał głową.

– Możemy spytać o pozwolenie na rozbitcie obozu przed domem.

– Doskonale.

Antoniusz zboczył z drogi i udał się do najbliższej chaty.

– Dom i stodoły są puste! – zawołał po chwili.

Kratos rozejrzał się po okolicy.

– Podobnie jak i pola.

Antoniusz stanął u boku strażnika.

– Nie ma tu żywej duszy.

Helena patrzyła na pusty krajobraz. W oddali nad nimi krążyły dwa myszowłowy. Słyszała beczenie owiec, ale nie widziała żadnych zwierząt.

– Czyżby ludzie uciekli?

– Nie przed nami, tego możesz być pewna. – Skórzane wiązanie na rękojeści miecza zaskrzypiało pod dłonią strażnika. – To więcej niż prawdopodobne, że zobaczyli wysłane na nas oddziały.

– Ten dziedziniec to najlepsze miejsce na obóz, jakie jesteśmy w stanie znaleźć – zdecydował Antoniusz. – Budynki zapewnią nam ochronę. Jest woda, znajdują się świeża pasza i owoce na drzewach w sadzie. Odpoczniemy tutaj.

Teraz, kiedy Helena pozwoliła sobie na przystanek, wyczerpanie niemal ją przytłoczyło. Chwiejnym krokiem przeszła na środkowy dziedziniec domostwa, podczas gdy Antoniusz i Kratos przeszukiwali wszystkie budynki. Znalazła schronienie pod wystającym dachem i rzuciła się na zakurzoną ziemię. Po chwili spała kamiennym snem.

Obudziła się tuż przed świtem, głodna jak nigdy w życiu. Bolały ją wszystkie kości. Podniosła się powoli i odkryła, że towarzysze rozbili nad nią namiot. Kiedy wyszła na zewnątrz, milcząca służka podała jej pieczoną jagnięcinę. Helena patrzyła, jak Kratos wypieka podpłomyki na kamieniach ułożonych wokół ogniska. Użył sztyletu, by podważyć jeden z nich i przełożyć go do jej misy. Żaden – nawet najwykwintniejszy – posiłek nigdy jej tak nie smakował.

Piła właśnie drugi kubek wody, gdy Antoniusz warknął ostrzegawczo.

Wstała wraz z innymi. Dostrzegła jakiś tuzin żołnierzy spieszących drogą w ich kierunku. Przyszli z północy, od strony Cezarei. Dyszeli – jak to żołnierze, którzy potrafią biec do skrajnego wyczerpania.

Kratos starał się osłaniać ją przed zbliżającym się zagrożeniem. Helena mogła jedynie zakładać, że to Firmilian posłał oddział, by ich zgładzić. Kratos i czterech żołnierzy dobyli broni. Dźwięk metalowych ostrzy wyslizgujących się z pochew wprowadził ją w drzenie. Czy to miała być jej ostatnia godzina? Czy wraz z przyjaciółmi zostanie zmieciona z powierzchni ziemi? Czy ich prochy pokryją milczące pola? Chciała się modlić. Ale żadna myśl, żadne słowa nie przychodziły jej do głowy. Tylko strach. Co innego wyglądać śmierci z daleka, a co innego oglądać jej mroczną paszczę.

Antoniusz stał w pełnej gotowości. Helena nie miała pojęcia, w jaki sposób jeden człowiek mógłby wystąpić przeciwko całej grupie żołnierzy. Nagle z wolna się wyprostował.

– Spokojnie.

– O co chodzi? – zapytał Kratos.

– Coś jest nie tak...

Helena też to zauważyła. Ci mężczyźni nie maszerowali w ustalonym porządku. Właściwie to wcale nie maszerowali. Potykali się, zataczali. Gdyby nie mieli na sobie skórzanych napierśników rzymskich żołnierzy, pomyślałaby, że to rozbójnicy.

– Dezerterzy? – zdziwił się Kratos.

Antoniusz wzruszył ramionami.

– Dlaczego mieliby przychodzić tutaj?

Lęk zmalął na tyle, że Helena była w stanie policzyć zbliżających się mężczyzn. Było ich dziewięciu. Po długim marszu mieli nogi białe od kurzu, a z ich twarzy biło wyczerpanie i coś jeszcze. *To ból*, pomyślała Helena. Żołnierze wyglądali tak, jakby doświadczali osobliwej agonii.

– Może mają odwrócić naszą uwagę? – zastanawiał się na głos Kratos.

– Nie ma takiej potrzeby – odparł Antoniusz, nie spuszczać oddziału z oka.

– Kohorta wyszkolonych legionistów zmiotłaby nas z powierzchni ziemi.

Kiedy żołnierze podeszli jeszcze bliżej, ich agonია stała się bardziej widocz-

na. Mieli napięte mięśnie twarzy, zapadnięte oczy. Większość z nich szła z pustymi rękami. Niektórzy nieśli włócznie, ale skierowane ostrzami do ziemi, co stanowiło rzymski sposób komunikowania pokojowych zamiarów. Helena wiedziała, że rzymski żołnierz potrafi kłamać jak każdy inny, ale Antoniusz miał rację – dlaczego mieliby zawracać sobie tym głowy? Z każdym krokiem mężczyzn na pustej drodze Helena nabierała pewności, że ci ludzie nie stanowią dla niej zagrożenia.

Kiedy byli dziesięć kroków od nich, Antoniusz uniósł dłoń. Mężczyźni przystanęli.

– Kto jest waszym dowódcą? – spytał Antoniusz.

Mężczyzna, który udzielił mu odpowiedzi, był zahartowanym w boju weteranem z bliznami na ramieniu, prawej ręce i szyi.

– Nikt.

– Co was tu sprowadza?

Żołnierz oblizwał suche usta.

– Czy podróżuje z wami cesarzowa Helena?

Antoniusz spojrział na Helenę stojącą przy drodze.

– Nakazała nam nie posługiwać się tym tytułem. Po prostu pani Helena.

W słowach żołnierza pobrzmiwała jawna desperacja.

– Czy możemy z nią pomówić?

Makariusz pokuśtykał do przodu, opierając się ciężko o laskę.

– Jakąż to sprawę możecie mieć do matki Konstantyna?

W głosie żołnierza nie było wyniosłości.

– A z kim rozmawiam? – spytał.

Kapłan wyciągnął rękę, by Kratos pomógł mu wejść na drogę.

– Na imię mi Makariusz, jestem biskupem Jerozolimy. Pytam więc: czy to wasza sprawa, z kim podróżujemy?

– Czy prawdziwe są opowieści, że to cesarzowa przywiodła swego syna do Pana[e]?

– Owszem.

– I że Konstantyn zaprasza teraz swoich ludzi do modlitwy do Jezusa?

Helena postanowiła, że pora dołączyć do towarzyszy na drodze. Żołnierze wydawali się jej nie rozpoznawać. W końcu mieli przed sobą kobietę odzianą w zwykłą szarą szatę chłopki.

Usłyszała, jak Makariusz udziela im odpowiedzi.

– To również prawda, choć nie byłem tego świadkiem. Dość waszych pytań. Odpowiedzcie na moje albo odejdźcie. Co was tu sprowadza?

– Nie mamy dokąd pójść. – Gdy weteran wypowiadał te proste słowa, załamał mu się głos.

Delikatne podmuchy wiatru zgarniały Antoniuszowi włosy na czoło. Helena usłyszała beczenie owiec znajdujących się w jakiejś ukrytej zagrodzie. Wydawało

jej się też, że słyszy płacz dziecka. Ptak wyśpiewywał powitanie słońcu.

– Jestem Helena, matka Konstantyna – powiedziała i stanęła u boku Antoniusza. – Wszystko, co słyszeliście o moim synu i jego żołnierzach, jest prawdą.

Weteran padł na kolana. Podobnie uczynili pozostali. Wyglądali jak spadające kamienie.

– Przybywamy prosić cię o wybaczenie, augusto.

Tym razem Helena nie wyraziła sprzeciwu wobec tego tytułu.

– Twoje imię?

– Ewander, wasza wysokość.

– Powstań, Ewanderze. I niech to samo uczynią twoi ludzie.

– To nie są moi ludzie, wasza wysokość. – Żołnierz nadal klęczał.

– Dlaczego nie wstajecie?

Mężczyzna mocno zacisnął szczękę. Na jego szyi, ramionach i klatce piersiowej prężyły się mięśnie.

– Nie ośmieliłbym się, pani.

Makariusz pokuśtykał, by stanąć u boku Heleny.

– Moja pani, może do czegoś się przydam?

– Mów.

Biskup spojrział na klęczących żołnierzy.

– Wszyscy jesteście chrześcijanami, tak? A jednak wszyscy publicznie wyrzekliście się swego Boga?

W głosie Ewandera pobrzmiwał wstyd.

– Tak się stało.

Pozostali żołnierze jedynie pochylili głowy jeszcze niżej.

– Wszystkim żołnierzom nakazano ucztować w imię rzymskich bóstw. Ci, którzy tego nie uczynili, najpierw zostali poddani publicznym torturom, a potem zamordowani. Taki sam los czekał ich rodziny, nawet najmłodsze dzieci – wyjaśnił Makariusz.

– Wiem o tym. – Helena podeszła do mężczyzn klęczących na ziemi. – Ewanderze, rozkazuję ci wstać.

Posłuchał jej, ale opuściły go siły. Przewrócił się i jęknął.

Helena uklękła przy nim. Chwyciła go za ramiona.

– Nakazano ci wstać – przemówiła łagodnie.

Mężczyzna spełnił rozkaz z ogromnym wysiłkiem. Po jego twarzy, pokrytej białym pyłem, spływały łzy. Żaden z pozostałych żołnierzy się nie poruszył.

– Nie kłaniajcie mi się – powiedziała Helena. – Jestem nikim. Jestem kobietą odbywającą pielgrzymkę, bez tytułu, bez męża, bez domu. Jestem grzesznicą. Grzeszę podobnie jak wy. Jestem tą, która zawodziła swego Boga częściej, niż jest w stanie zliczyć.

– Rzeczy, które uczyniłem... – załkał żołnierz. – Niewinni, których zabi-

łem...

– Niesiesz swoje brzemię. A ja swoje. Teraz wiesz, dlaczego Jezus umarł na krzyżu. – Helena umilkła na chwilę. Po chwili mówiła dalej: – Spójrzcie na mnie, błagam.

Tym razem wszyscy podnieśli głowy. Ich twarze były zalane łzami. Żaden z nich nigdy wcześniej nie płakał.

– Będziecie mi towarzyszyć? – spytała. – Czyż nie powinniśmy jako rodzina wiernych wyznać naszych grzechów Temu, który uwolnił nas od boleści?

– Nie zasługuję na to.

– Nikt z nas na to nie zasłużył. – Jej głos złagodniał na skutek słabości, którą właśnie w sobie odkryła. – Makariuszu, pomożesz nam?

Biskup ukłonił się jej.

– Moja pani, to będzie dla mnie zaszczyt.

[e] Prawdopodobnie było odwrotnie – to Helena przyjęła chrzest pod wpływem swojego syna (przyp. red.).

Kiedy zapadł zmrok, nasilił się wiatr znad morza. Płomienie pochodni tańczyły i posykiwały. Wiatr nie był zimny, ale Helena nie mogła powstrzymać dreszczy, które wstrząsały jej ciałem.

Zebrali się w pustej stodole. Za kadzidło posłużył im zapach zwierząt, a za ołtarz – zwykły stół roboczy. Helena rozłożyła na odrapanym drewnie swój płaszcz jako obrus. Na znak kapłana Antoniusz nalał do jednego z podniszczonych kielichów wina ze skórzanego bukłaka. Kratos pociął nożem podpłomyk na kawałki. Ewander i pozostali żołnierze uklękli obok siebie, stykając się ramionami. Rzymskich żołnierzy szkolono, by tak właśnie czynili w obliczu niebezpieczeństwa.

Helena znalazła się w pułapce wspomnień. Przypomniła sobie gorzki gniew, jaki żywiła do męża. Tak, miała prawo go nienawidzić. Tak, skrzywdził ją na niezliczone sposoby. Tak, płakała tylko w samotności namiotu. Tak, wszystkie jej myśli pozostawały głęboko ukryte, nawet przed jej synem. A jednak tutaj, w stodole, było jej tak wstyd, że musiała zwalczać w sobie pragnienie klęknienia u boku żołnierzy.

Makariusz uniósł kielich i chleb w kierunku krokwi i odmówił krótką modlitwę. Następnie odłożył chleb i pokuśtykał w stronę klęczących żołnierzy. Czekał w milczeniu. Helena była pewna, że czekałby tak całą noc, gdyby okazało się to konieczne.

W końcu przemówił:

– Czy ty i twoi ludzie podniesiecie się z kolan i staniecie przede mną?

Ewander niechętnie wstał i gestem nakazał pozostałym uczynić to samo.

Makariusz wskazał na swój pusty oczodół i ranę na kostce.

– Czy ty mi to uczyniłeś?

Żołnierz obiema rękami chwycił się za brzuch. Zdrętwiał z bólu.

– Tak, mogłem to zrobić.

– To właściwa odpowiedź. A teraz słuchajcie uważnie. Spójrzcie na mnie. Spójrzcie! – warknął do nich.

– Róbcie, co mówi – poleciła Helena łagodnie.

Makariusz podszedł jeszcze bliżej. Pozostali znów skłonili głowy, jakby osłaniali się przed ostrzami włóczni i mieczy. Ale nie padli na kolana.

– O co prosisz, Ewanderze? – spytał Makariusz.

Słowa żołnierza były przesycone poczuciem nędzy i wyrzutami sumienia.

– O wybaczenie.

– I znów dobra odpowiedź. – Kapłan uniósł kielich. – Pan Jezus tej nocy, której został wydany, zgromadził wokół siebie uczniów, wziął chleb, kielich i rzekł: „To jest kielich krwi mojej, nowego i wiecznego przymierza, która za was będzie wylana”.

– Nie mogę – wyszeptał żołnierz.
– Czy twoja zdrada jest gorsza niż Piotrowa? – Podsunął mu kielich. – Bierz i pij.

Ewanderowi ręce drżały tak mocno, że oblał się płynem. Napił się, po czym podał kielich towarzyszowi. I tak naczynie okrążyło wszystkich żołnierzy. Później Makariusz wziął kielich i podał go najpierw Antoniuszowi, potem pozostałym, a na końcu Helenie, która trzymała go, gdy sam Makariusz pił.

Kapłan odstawił kielich, wziął chleb i powiedział:

– Tylko ci, którzy są świadomi powagi swojego upadku, pojmą dar od Pana. Tylko ci, których żal jest prawdziwy, którzy odwrócili się od swojego grzechu, błagali o niemożliwy dar przebaczenia, są zdolni zgłębić nieskończone Boże miłosierdzie.

Pobłogosławił chleb.

– Bierzcie i jedzcie z tego wszyscy, a Boże przebaczenie rozpromieni wasze przyszłe dni.

Po Eucharystii w stodole Antoniusz podał Ewanderowi i jego towarzyszom to, co jeszcze zostało z pieczonego jagnięcia, po czym nakazał im położyć się i odpocząć. Obszedł teren z Kratosem, który na nowo mówił o swoich ponurych przewidywaniach dotyczących przejścia przez wzgórza. Z jakiegoś powodu Antoniusz czuł się jednak wolny od zmartwień. Po skończonym obchodzie położył się i spał najlepszym snem od czasu, gdy dołączył do Heleny.

Nazajutrz obudził się i spostrzegł, że Ewander i pozostali legioniści zniknęli.

Nie mógł w to uwierzyć, nawet wtedy, gdy podszedł do miejsca, w którym wcześniej odpoczywali. Kratos stanął obok niego.

– Nigdy w życiu nie wziąłbym ich za tchórzy.

– Czy nie zauważyłeś czegoś niepokojącego podczas warty? – spytał Antoniusz.

– Siedzieli przy ognisku i rozprawiali. Jeden z nich spytał, dokąd idziemy. Odpowiedziałem. Nie widziałem w tym zagrożenia.

Antoniusz zauważył, że strażnik się zasępił.

– Nie miałeś powodu im nie mówić. Sam bym im powiedział.

Kratos odetchnął z ulgą.

– Godzinę później wróciłem z obchodu. Już ich nie było.

– Dlaczego mnie nie zbudziłeś?

– A co mógłbyś zrobić? Pobiec za nimi i błagać, by zostali? – Kratos zmrużył oczy i spojrzał na wzgórza na południu. – Odeszli, a nas czeka zguba.

– Dlaczego nas zostawili? – Antoniusz kopnął w płot. – Helena uczyniła wszystko, by czuli się mile widziani.

Kratos splunął.

– Poszedłem ich tropem. Udali się na południe, drogą przez wzgórza.

To oznaczało, że żołnierze poszli w tym samym kierunku, który zamierzała obrać Helena. Jeśli Ewander przekazał wieści ich wrogom, wkrótce wpadną w pułapkę. Antoniusz krążył po obozowisku, wściekły, że pozwolił sobie na nadzieję.

Makariusz przyglądał mu się z uśmiechem szczęśliwego człowieka. Pomachał dłonią w kierunku nieba, posępnego i ciemnego niczym błoto.

– W taki dzień jak ten pierwsi chrześcijanie zgromadzili się na Golgocie i patrzyli, jak Mesjasza wieszają na krzyżu hańby. Nie wiedzieli, nie potrafili sobie nawet wyobrazić tego, że ich tragedia zapoczątkowała ścieżkę prowadzącą ludzkość do Domu. Teraz, bardziej niż kiedykolwiek, przyszła pora na nadzieję – powiedział.

Antoniusz spiorunował go wzrokiem. Na próżno starał się wymyślić jakąś gorzką ripostę. Jego niezyczliwe nastawienie wydawało się tylko rozweselać kapłana.

– Z równie mrocznych chwil rodzą się cuda, które krzyczą do nas przez wieki. Nadzieja! Radość! Pokój! – kontynuował biskup.

Antoniusz patrzył na drogę prowadzącą na południe. Wznosiła się, wiła, aż w końcu znikła. Pustynia miała barwę równie wyblakłą jak niebo. Wzgórza na południu przypominały złowrogie kły. Próbował sobie wmawiać, że to właśnie miał nadzieję znaleźć: zaciekłego wroga zdolnego odebrać mu życie.

– Przyłącz się do mnie, Antoniuszu. – Makariusz wskazał ręką śniadanie czekające przy ognisku. – Są owoce, chleb, ser i woda.

– Gdzie Helena?

– Śpi. Zostaw ją. Przed nami długi dzień. Kratosie, bądź tak dobry i nalej centurionowi wody.

Antoniusz nie miał powodu odmawiać. Kiedy usiadł, dotarło do niego, że jest głodny jak wilk. Makariusz przyglądał mu się z uznaniem i nie odezwał się dopóty, dopóki ten nie skończył jeść.

– Powiedz mi, z jakiego powodu jesteś tak wściekły na Boga.

Pytanie to było bardzo bezpośrednie. Antoniusz napił się, ale woda miała smak popiołu.

– Obserwowałem cię uważnie i widzę człowieka, który zapomniał, jak to jest się uśmiechać. Widzę złość, którą nosisz na sobie jak stary płaszcz. I to taki, który na ciebie nie pasuje.

– A odkąd to na tym świecie wybieramy sobie ciężary, które nosimy? – spytał cierpko Antoniusz.

– Rzadko, o ile w ogóle – zgodził się z nim Makariusz.

Antoniusz zdał sobie sprawę z tego, że biskup nie chciał pytać go o nic więcej. Wyczuł też, że Makariusz nie powtórzy zadanego przed chwilą pytania. Po-

myślał, że kapłan nie oczekuje od niego, by wyjawiał mu swoje sekrety. A jednak słowa w nim wzbierały, przymus mówienia był tak potężny, że mężczyzna nie potrafił go stłamsić.

– Miała na imię Rachela.

– Kim dla ciebie była?

– Żoną. Zmarła przy porodzie naszego syna.

– Utraciłeś swoją ukochaną i pierworodnego... To straszne! Kiedy to się stało?

– O świcie w dzień szabatu. Dziesięć miesięcy i trzy tygodnie temu. – Antoniusz znów poczuł ten przeszywający zimny wiatr, ostrze, które wrzynało się coraz głębiej w ziemię, gdy własnoręcznie kopał groby. Wpatrywał się teraz w poszarzałe wzgórza i wspominał jedyny raz, kiedy trzymał w ramionach swojego syna i oddawał jego ciało ziemi.

Pożałował swojego wyznania. Dziś będzie potrzebował sił. – Trudno jest ostatnimi czasy dostrzec palec Boży w czymkolwiek.

– Nie widziałeś go nawet wczoraj wieczorem?

Antoniusz wskazał ręką miejsce, gdzie wcześniej odpoczywali żołnierze.

– Nie widzę nikogo, kto mógłby nas chronić.

– Modlę się więc, by Bóg zmienił twój punkt widzenia, centurionie. Ja widzę cuda wokół nas. A tam, pośród wzgórz, którym przyglądacie się z Kratosem z takim niepokojem, palec Boży z pewnością wskaże nam jeszcze więcej cudów.

Makariusz położył dłoń na ramieniu Antoniusza. Dopiero po chwili do mężczyzny dotarło, że kapłan się za niego modli. Antoniusz starał się ponownie skupić na wzgórzach i zagrożeniu. Ale dotyk dłoni tego człowieka spuścił zasłonę na jego zmysły, jakby modlitwa sprawiała, że rzeczywistość zniknęła. Antoniusz wytrzymał jego troskę, podobnie jak zniesie nadchodzące ciosy, ponieważ w takim dniu jak ten nie ma czasu na łzy.

Helena nigdy nie uważała się za kobietę zmienną. Aż do tego ranka. Obudziła się z niesamowitym poczuciem spokoju. To wrażenie towarzyszyło jej podczas śniadania, nawet kiedy rozmawiała z Antoniuszem i Kratosem o zniknięciu żołnierzy. Kiedy jednak zlikwidowali obóz i wyruszyli w drogę, poczuła, że spokój błyskawicznie ulatuje. Wystarczył pierwszy rzut oka na wzgórza. Wystarczyło jedno spojrzenie, a czujność i strach powróciły.

Wiatr ucichł, ale chmury się nie przeredziły. Nie padało. Wędrowali pod niebem koloru wysłużonego żelaza. Rozległa wioska była opustoszała i cicha. Helena doświadczyła już kiedyś takiej ciszy, kiedy ludność uciekła przed wojskami. Zwykle ludzie biegli jednak w popłochu na dźwięk bębnow i przenikliwych głosów, na widok włóczni, które wyrastały przed domostwami o świcie niczym złowrogi las. Tymczasem ona podróżowała z jedną służką, kilkoma strażnikami, kulawym kapłanem i Antoniuszem. Dla Heleny ta cisza zwiastowała rychłą zagładę. Nad ich głowami krążył sokół, jego krzyk przeszył powietrze niczym pożegnanie. Znow się wzdrygnęła i zapragnęła znaleźć w sobie siłę do dotrzymania obietnic, które wydawały się takie odległe.

Rzymianie budowali proste drogi. Ta wznosząca się ku wzgórzom stanowiła idealną równię pochyłą. Naturalne nierówności terenu zostały wygładzone, a tam, gdzie ziemia się zapadała, robotnicy zbudowali mosty.

Antoniusz przyspieszył, aż osiągnął swoje zwykłe tempo marszowe. Niewiele dzieliło je od truchtu. Helena wiedziała, że dobry żołnierz potrafi poruszać się z taką prędkością przez cały dzień, spać kilka godzin, tak samo czynić jeszcze przez trzy doby, a potem od razu walczyć na polu bitwy. Antoniusz rzeczywiście był dobrym żołnierzem. Jednym z najlepszych. Musiał taki być, skoro w tak młodym wieku został osobistym doradcą jej syna. Kiedy wysunął się do przodu, Helena wystraszyła się myśli, że mogłaby go utracić. Dostrzegła posępny wzrok Kratosa i zdała sobie sprawę z tego, że wszyscy strażnicy wiedzieli, co Antoniusz zamierza.

Chciał złożyć ofiarę z siebie.

Zawołała go i natychmiast tego pożałowała. Antoniusz nie odwrócił się ani nie odpowiedział. Kratos i strażnicy również milczeli. Nie było nic do powiedzenia.

Makariusz także nieco przyspieszył i dołączył do niej. Położył dłoń na jej ramieniu. Wiedziała, że się modli, podobnie jak wcześniej przy Antoniuszu. Patrzyła na opustoszałą drogę i złączyła się z kapłanem w bezgłośnie modlitwie. Za Antoniusza. Za nich wszystkich.

Antoniusz poczuł drganie ziemi pod stopami, zanim usłyszał jakikolwiek

dźwięk.

Dobrył miecza i ustawił się na środku drogi. W powietrzu unosiły się tumany kurzu. Droga wstrząsała coraz mocniejsze uderzenia podkutych kopyt. Antoniusz słyszał sapanie konia, jakby bestii, która pędzi ku niemu tempem ponad swoje siły.

Kiedy jeździec pojawił się przed nim, do Antoniusza dotarło, że to wcale nie napastnik. Ujrzał rzymskiego zwiadowcę. Na wędzidłach i uździe jego konia zebrała się piana. Gdy zwiadowca ściągnął lejce, zwierzę zachwiało się nagle. Wyglądało, jakby zaraz miało upaść.

– Spokojnie, dziewczynko, spokojnie!

Żołnierz zsiadł. Okazało się, że sam ledwo stał na nogach. Jego skórzany napierśnik był mokry i szerniały. Tunikę miał brudną od kurzu i potu. Poklepał konia po boku i poczekał, aż zwierzę uspokoi się na tyle, by nie upaść. Następnie odwrócił się i spytał:

– Towarzyszysz cesarzowej?

– Owszem. – Antoniusz usłyszał, że głos mu drży. – A ty?

– Jestem Fawian, oficer z dziewiątego legionu. A raczej były oficer. Czy Ewander mówił prawdę? Czy matka Konstantyna przybyła tu na pielgrzymkę?

– Owszem. – Antoniuszowi z trudem przychodziło rozluźnienie napiętych mięśni. – Dawniej byłeś więc zwiadowcą. A teraz?

– Podobnie jak inni chrześcijańscy legionieści, którzy wybrali życie w pohańbieniu, wylałem swoje wino na kamienie, złożyłem fałszywą przysięgę wierności bogom, w których nie wierzę, i zostałem odesłany do kopalni. – Odwiązał bukłak z wodą. – Uczynisz mi przysługę?

Antoniusz wyjął korek i nalał wody w złożone dłonie zwiadowcy. Podobało mu się to, że Fawian bardziej troszczył się o konia niż o siebie. Następnie żołnierz sam wziął bukłak i wypił z niego spory łyk.

– Bałem się, że nie zdążymy na czas. Górscy rozbójnicy zostali już pozyskani przez człowieka, którym gardzimy. Na imię mu Sewerus.

– Stał u boku Firmiliana, kiedy tu przybyliśmy.

– To jego pupilek wśród zabójców. Ja wolałbym spać ze żmiją owiniętą wokół szyi.

– Spodziewaliśmy się zasadzki pośród tych wzgórz.

– I mieliście rację. – Fawian urwał, by znów się napić. Drżał tak, że woda spływała mu po piersiach. Otarł usta i mówił dalej: – Ja i moi ludzie wyprawiamy się tą trasą tylko raz w miesiącu. Dla naszych wierzchowców to dobre ćwiczenie. Kiedy rozbójnicy nas widzą, chowają się wśród gór. Tym razem złapaliśmy jednak dwóch, którzy podeszli zbyt blisko. Wygadali się, że Sewerus rozkazał im dorwać cesarzową.

– Jak nas znaleźliście?

– Jesteśmy tu od trzech dni. O świcie mieliśmy wracać do Phaneo. Ewander

nas wyszedł, kiedy już składaliśmy obóz. Moja klacz od lat nie musiała biegać z taką prędkością. Moi ludzie idą piechotą. Użyczyliśmy naszych wierzchowców Ewanderowi i jego towarzyszą. – Poklepał konia po boku. – Natknęcie się na Ewandra na tej pustej drodze to był...

– Cud – mruknął Antoniusz.

– Czy to prawda, co powiedział nam Ewander? Że cesarzowa uczestniczy w Eucharystii z takimi jak my?

Antoniusz odwrócił się i skinął ręką.

– Chodź i zobacz sam.

Kiedy Antoniusz ponownie pojawił się za zakrętem, na dodatek u boku innego rzymskiego żołnierza, który prowadził umęczonego konia, Makariusz zaczął śpiewać.

Nie były to zbyt czyste dźwięki – biskup nie posiadał głosu o ciekawej barwie. Ale Helena rozpoznała pieśń i przez jedną oszłamiającą chwilę miała ochotę zaśpiewać razem z nim. Wtem dostrzegła błysk zębów Antoniusza i zdała sobie sprawę z tego, że po raz pierwszy widzi, jak ten człowiek się uśmiecha.

Kiedy mężczyźni podeszli, usłyszała, jak żołnierz prowadzący konia pyta:

– Gdzież jest augusta?

– To ta dama w szarym odzieniu. Ale radzę ci tak się do niej nie zwracać.

Twarz żołnierza była mizerna, pokryta smugami kurzu i potem.

– Jakże zatem mam do niej mówić?

– Moja pani. Zostawiła za sobą wszystko. W tym tytuły.

Helena usłyszała rzeczową wypowiedź Antoniusza i postanowiła znaleźć jakiś sposób, by mu podziękować. Nagle wycieńczony żołnierz padł przed nią na kolana.

– Przekazuję pozdrowienia, pani, od zagubionych dusz z Phaneo.

– Jak cię zwa, panie?

– Fawian.

– Powstań, dobry człowieku. I powiedz, co cię tu sprowadza.

Zamiast niego przemówił jednak Antoniusz.

– Fawian jest zwiadowcą. On i jego ludzie robili obchód, kiedy grupa Ewandra natknęła się na nich w wiosce na wzgórzach.

– Nie pojmuję – powiedziała Helena. – Ewander opuścił nas, by cię odszukać?

– Nie wiedział, że tam będziemy, moja pani. Był w drodze do kopalni.

– Jak daleko stąd do Phaneo?

– Dzień i noc biegiem.

– Ewander chciał tam pobiec?

– Wiedział, że weszlście do doliny bez ochrony, moja pani. Udał się po pomoc. Znalazł nas, gdy kończyliśmy obchód. Oddaliśmy mu wszystkie konie prócz tego. Ewander i jego ludzie byli wyczerpani i mieliśmy nadzieję, że wymkną się Sewerusowi, jeśli ten zaatakuje.

Helena usłyszała, jak kapłan mruknął:

– Cud za cudem.

Ale słowa Makariusza nie powstrzymały u niej dreszczy przerażenia.

– Widzieliście tego Sewerusa?

– Złapaliśmy dwóch rozbójników, którzy byli jego szpiegami. Potwierdzili, że cię ściga.

– Rzymski żołnierz sprzymierza się z górskimi bandytami? – spytał Kratos.

– Sewerus jest Partem – przypomniał mu Antoniusz.

– Był najemnikiem, nim został oficerem – dodał Fawian cierpko. – Służy namiestnikowi dla złota.

– Zostałeś przydzielony do kopalni? – spytała Helena.

– Dziewięć miesięcy temu. Przedtem byłem głównym zwiadowcą swojego legionu.

– Straciłeś stanowisko z powodu wiary?

– Oddałem pokłon pogańskim bogom. – Pochylił głowę ze wstydem. – Nie-wielką pociechą jest dla mnie to, że uratowałem dwie córki przed rzezią.

– Gdyby to moje dziecko znalazło się w niebezpieczeństwie, przysięgam posłuszeństwo księżycowi i gwiazdom – powiedział Antoniusz do ziemi pod stopami.

Zwiadowca lekko wyprostował ramiona. Była to jedyna oznaka tego, że usłyszał słowa Antoniusza.

– Moi ludzie powinni dołączyć do nas przed rankiem, moja pani. Ewander wróci w ciągu trzech dni, może szybciej, z kolejnymi żołnierzami z kopalni. – Zaważał się, po czym dodał: – O ile żołnierze go nie aresztują lub Sewerus ich nie do-rwie.

– Cóż zatem radzisz, zwiadowco?

– Proszę cię, abyś wróciła do doliny. Daj moim ludziom czas, by dołączyli do nas – powiedział Fawian.

– Nasz aktualny cel to kopalnia – odparła Helena. – A Pan jest moim obroń-cą.

– Moja pani, a może Pan wybrał mnie na twojego sługę?

– Być może – przyznała. Wyczuwała pragnienie pozostałych, by wypełnić prośbę zwiadowcy. Jedyne Makariusz zachował rezerwę. Obserwował, jak jaskółki szybują nad opustoszałymi polami, i nadal cicho nucił fragmenty pieśni. Helena poczuła głęboką wdzięczność za wolę tych wszystkich ludzi, aby podążać za nią. Żadne przyrzeczenie wierności, żadne przysięgi posłuszeństwa nie znaczyły choć

w połowie tyle co ich cierpliwość w obliczu zagrożenia.

– Zostaniemy tu na noc – postanowiła. – Będę się modlić o jutro.

Późnym popołudniem wrócili do opuszczonych budynków rolniczych. Antoniusz znalazł kulawą kozę, która jadła zielone pędy na sąsiednim pastwisku. Zabił zwierzę i oparował je. W tym czasie Kratos rozpałił ogień, a pozostali strażnicy znaleźli w ogrodzie dojrzałe warzywa. Upiekli kozę i rozłożyli warzywa na gorących kamieniach. W opuszczonej kuchni stały niewielkie naczynia pełne suszonych ziół. Makariusz przysłużył się sprawie, obracając rożen i rozlewając ściekający sos na piekące się warzywa. Antoniusz pomógł strażnikom i służce Heleny rozbić niewielki namiot. Następnie wszyscy zebrali się przy ognisku. Makariusz pobłogosławił strawę i pomodlił się o bezpieczeństwo zwiadowców. Poprosił o Boże prowadzenie, o miłosierdzie, pokój i uzdrowienie. Jedli wspólnie w niekrępującej ciszy. Nagle Helena spytała:

– Gdzie są rolnicy?

Antoniusz zastanawiał się nad tym samym, kiedy przygotowywał posiłek.

– Przypuszczam, że schowali się w jaskiniach – powiedział. Wskazał na klify na południowym zachodzie. – Gromadzą tam zapasy, z których korzystają w takich sytuacjach. W jednej jaskini trzymają pewnie zwierzęta. Wejście do niej prawdopodobnie zasłoniли krzewami cierniowymi.

Wszyscy wpatrywali się w zachodzące słońce. Antoniusz ciągnął:

– Tam jest niewielka ścieżka, która biegnie przez pastwisko.

– To może być szlak wydeptany przez zwierzęta – stwierdził Kratos.

– Zwierzęta nie stawiają bram – odparł Antoniusz. – Jedna stoi po drugiej stronie pola.

Helena wstała i pożegnała się z towarzyszami, życząc im dobrej nocy. Antoniusz podniósł się wraz z pozostałymi. Zgłosił się na ochotnika na pierwszą wartę. Dołożył do ognia, podczas gdy pozostali mościli się na kocach. Obserwował, jak światło dnia blednie i pojawiają się pierwsze gwiazdy. Zawsze lubił te chwile, kiedy niebo przybiera kolejne subtelne odcienie. Jego myśli płynęły swobodnie.

– Czy mogę się przyłączyć?

Był zaskoczony z dwóch powodów: po pierwsze, nie słyszał niczyich kroków, a po drugie, osobą, która do niego przemówiła, okazała się Helena.

– Oczywiście, wasza wysokość.

Obeszli ogród i zatrzymali się przy płocie.

– Słyszałam, jak rozmawiasz z Makariuszem o swojej żonie i dziecku – powiedziała Helena. – Tak mi przykro z powodu twojej straty!

– Dziękuję, moja pani.

– Rachela to hebrajskie imię.

– Zgadza się – potwierdził Antoniusz.

– Była wyznawczynią Jezusa?

– Tak. Ona i cała jej rodzina. Jej ojciec był kupcem. Nasze rodziny prowadziły między sobą handel. – Antoniusz wziął głęboki oddech. Na jego twarzy pojawiło się srebrzyste światło. – Rachela błagała ojca o pozwolenie na nasz ślub. Jej ojciec nie chciał, by wyszła za żołnierza, wtedy jeszcze poganina. Ale kochał swoją córkę zbyt mocno, by odmówić jej czegokolwiek.

– A ona chciała ciebie – powiedziała Helena. – Ujmującego młodego oficera, który zyskał sobie względy mojego syna.

– Tak było. – Uśmiechnął się na to wspomnienie. – Lubiłem jej ojca. Nadal go lubię.

– Odszukałeś go, ponieważ nie spodziewałeś się, że wrócisz?

W odpowiedzi Antoniusz spojrział w daleki punkt za polami i zatopił się we wspomnieniach. Przypomniawszy sobie, jak klęczał przed siwobrodym kupcem, przytłoczony żalem, który ujrzał w oczach tego człowieka. Kupiec nie powiedział ani słowa, tylko położył dłoń na jego głowie. Trwali tak przez chwilę, a jedynymi słyszalnymi dźwiękami były wówczas syk pochodni i odgłos kopyt konia przed domem. Kiedy Antoniusz wstał, ojciec Racheli objął go, po czym obaj zapłakali. To były pierwsze łzy, jakie Antoniusz uronił od momentu złożenia ciał żony i dziecka w ziemi.

Helena przerwała jego rozmyślenia.

– Czy mogę wiedzieć, dlaczego nie spytałeś o moją wizję?

– Kratos powiedział mi, że podąża za tobą z szacunku, jakim darzy ciebie i twojego syna – odparł Antoniusz. – Poczytuję to za dobry powód, by uczynić podobnie.

– Jestem wdzięczna za twoje posłuszeństwo, Antoniuszu. Ono dla mnie wiele znaczy. – Helena podniosła wzrok ku gwiazdom. – Gdy Pan przyszedł do mnie, powiedział, że odbędę tę podróż i będę bezpieczna, i że mam Mu we wszystkim ufać. Stwierdził, że ta wyprawa stanie się znakiem dla całego imperium.

– Znakiem czego?

– Nie wiem. Ale z każdym krokiem spotykają mnie nowe cuda.

Antoniusz wypowiedział na głos myśl, która prześladowała go od czasu przybycia na Cypr:

– Nie pojmuję, jak syn mógł w ogóle pozwolić ci na tę podróż.

Skinęła głową.

– Cud, nieprawdaż? Początkowo Konstantyn się nie zgodził. Ale pewnej nocy usłyszał głos.

Antoniusz poczuł ciarki na karku.

– Bóg przemówił do twego syna po raz drugi?

– I powiedział mu, że muszę odbyć tę podróż. I mam uczynić to bez oficjalnej eskorty wojskowej. Ta misja została zarządzona przez Boga – stwierdziła Helena. – Nazajutrz Konstantyn pomodlił się ze mną i dał mi skrzynię, którą pomogłeś

mi przywiązać do muła.

Antoniusz widział dwie skrzynie. W jednej spoczywały tkaniny i inne rzeczy osobiste. Drugiej jeszcze nigdy nie otwierano w jego obecności.

– Czy w tej skrzyni są pieniądze, moja pani?

– Trzy tysiące aureusów.

Ta suma wystarczyłaby na kupno pałacu w Rzymie i luksusowe życie. Antoniusz pomyślał, że taka fortuna przyciągnie wszystkich rozbójników z całego kraju. Ale po chwili zrozumiał, że to nic w porównaniu z zagrożeniami, jakie już mieli przed sobą.

Helena spuściła wzrok.

– Co musiałyby się stać, byś dołączył do mojego pielgrzymowania?

– Przecież jestem u twego boku.

– Wiesz, co mam na myśli.

Antoniusz się zawahał. Wydawało mu się, że słucha ich noc. A także siły zgromadzone poza rozgwieżdżonym horyzontem. One mu nie grożą. Ale słuchają z uwagą. I czekają na jego odpowiedź.

Ku jego zaskoczeniu Helena położyła mu dłoń na ramieniu. W jej głosie słyszeć było dawny ból.

– Nie jesteś jedynym, który cierpi z powodu nieznośnych ran. Wyczuwam w tobie pokrewną duszę, Antoniuszu. I dlatego chcę wystosować do ciebie zarówno zaproszenie, jak i prośbę. Poszukaj nowego celu w życiu, takiego, który znajdzie się poza zasięgiem twojej przeszłości.

– Moja pani...

– Wiem, że to, o czym mówię, wydaje się niemożliwe. Rozumiem to aż za dobrze. Nawet kiedy to mówię, czuję się przytłoczona moją przeszłością i porażkami. Jestem równie słaba jak ty, Antoniuszu. Moja wiara jest krucha. Nieustannie modlę się o pomoc i czuję, że większość tych prośb trafia w próżnię.

Jej wyznanie przyciągało jego duszę niczym latarnia morska.

– Czego ode mnie chcesz?

– Zrób to, o co proszę. Przyłącz się do mojej pielgrzymki.

– Nie jestem tego godzien, pani.

– Ja też nie. – Posłała mu najsmutniejszy uśmiech, jaki kiedykolwiek widział. – Proszę, pomódl się o to dziś. Daj Panu szansę, by przemówił do twego serca. I pozwól, bym pomodliła się z tobą.

Chociaż Helena miała najszczerze chęci, nie spędziła nocy na modlitwie. Gdy czuwała, nie była w stanie modlić się za kogokolwiek. Noc sprowadziła bowiem duchy przeszłości.

Wspomnienia napierały. Helena czuła, jakby namiot stanowił płócienne wię-

zienie. Odrzuciła nakrycie, podniosła się i wyszła. Na zewnątrz odwróciła się od wartownika. Nie chciała z nikim rozmawiać. Chciała samotności. Chciała powietrza. Chciała...

Szła przed siebie aż do zniszczonego płotu, który oddzielał ją od pustej zagrody. Ścigały ją obrazy. Gdyby wiedziała, że jej wyznanie uwolni wspomnienia, nigdy nie otworzyłaby ust. Ścisnęła twarde drewno, usiłując ponownie zamknąć bramę. Ale obrazy szeptały, tańczyły i rozrywały jej serce na strzępy.

Latami czekała na dzień, w którym jej mąż – ten czarujący młody żołnierz, którego poślubiła – wróci do domu. Czekwała, aż zestarzeje się i wreszcie odwiesi miecz. Wycofa się z armii i walki. Dołączy do niej w nadmorskiej willi. Będzie pielęgnował swoje winnice. Będzie szczęśliwy. Z nią. Razem.

Pragnęła stworzyć dom, który będzie dla jej męża i syna pełnym miłości schronieniem. Miejscem, w którym wszyscy będą się uśmiechać, śmiać i kochać. To było wszystko, czego pragnęła na jesień życia. Na ten wspaniały czas, kiedy jej małżeństwo dojrzeje. Gdy ich życie ubogaci się, pogłębi i...

Uniosła twarz ku nocnemu niebu. Gwiazdy lśniły srebrem za zasłoną jej łez. Cichy płacz ścisnął jej gardło. Bolały ją ramiona. Błagała Boga, by wyjął ten sztylet z jej serca. Błagała Go o uzdrowienie i pokój. Nie tęskniła za mężem. Tęskniła za tym, jak mogło być. Wiedziała, że pewnie nie powinna poddawać się dawnym urazom. Ale wmawianie sobie tego nie uśmierzało przeszywającego bólu serca ani nie zdejmowało z niego ciężaru. Prosiła, płakała, błagała. Podobnie jak czyniła to wielokrotnie. I, jak zwykle, Bóg milczał.

Kiedy wreszcie odzyskała panowanie nad sobą, odwróciła się i ruszyła z powrotem do namiotu.

I wtedy ich zobaczyła.

Obserwowały ją trzy pary oczu.

Antoniusz i Kratos czekali przy swoich posłaniach. Pozostali strażnicy i zwiadowca spali u ich stóp. Makariusz stał przy ognisku, opierał się ciężko o łaskę. Ta trójka uszanowała jej potrzebę samotności. Mężczyźni nie mówili nic, nie podszli do niej. Ich twarze miały taki sam wyraz. Byli poważni i czujni. Ich spojrzenia mówiły wszystko. Byli tam, by jej służyć. By dać jej siłę. By stawiać z nią czoła nocy.

Helena wróciła do namiotu. Kiedy położyła się obok śpiącej służki, stwierdziła, że Bóg jednak wysłuchał jej modlitw.

Nazajutrz Helena podeszła do zwiadowcy i zgodziła się poczekać jeszcze jeden dzień, by jego ludzie po przybyciu mogli odpocząć. Antoniusz i pozostali strażnicy odetchnęli z ulgą.

Po śniadaniu Makariusz rozpoczął modlitwę. Antoniusz stał sam i obserwował, jak kapłan, który mówił do swojego Boga, promienieje radością. Przypomnił sobie, że z jego żoną było podobnie. Rachela miała w sobie najwięcej życia właśnie podczas modlitwy.

Nabożeństwo dobiegło końca i matka Konstantina nakazała Antoniuszowi gestem, by towarzyszył jej w drodze do namiotu. Poszedł, czując w sobie pustkę na myśl, że wiara Racheli nie wystarczyła do tego, aby ich małżeństwo przetrwało, a ich syn nadal żył.

– Czy myślałeś o naszej rozmowie? – spytała go Helena.

– Owszem, moja pani.

– Przemodliłeś tę sprawę?

Antoniusz nie był w stanie dostrzec w niej śladów cierpienia, które czuła podczas modlitwy w świetle księżyca. A jednak jej chwila słabości uzdolniła go do poczynienia wyznań.

– Nie rozmawiałem z Bogiem od dnia, w którym złożyłem ciała mego syna i żony w ziemi.

Wydawało mu się, że Helena jest zadowolona z tej odpowiedzi. Zaskoczyło go to. Większość uduchowionych ludzi uważała jego słabą wiarę za osobistą obrazę.

– Jesteś szczerym człowiekiem. Wielu w twojej sytuacji znalazłoby powód, by skłamać. Jesteś prostolinijny i prawdomówny, choć zboczenie z kursu byłoby bezpieczniejsze. – Usadowiła się na składanym krzeselku z podłokietnikami. – Lubię cię, centurionie. Cieszę się, że tu jesteś.

Antoniusz zdał sobie sprawę z tego, że zastanawia się nad podobieństwem matki i syna. Oboje byli powściągliwi, obdarzeni przenikliwą mądrością.

– Jaki jest cel?

– Cel?

– Pielgrzymowania. Zanoszenia modlitw piechotą. Błagania Boga... o co?

Nagle rozległ się głos Makariusza.

– Moja pani, czy pozwolił, abym dołączył do was?

– Oczywiście – zgodziła się Helena.

Makariusz odrzucił płachtę namiotu i kuśtykając, podszedł do Heleny.

– To miła odmiana: słyszeć, jak ktoś mówi prawdę o swoich wątpliwościach. Pierwszy krok do tego, by zostać pielgrzymem, to zgoda na to, że życie nie jest doskonałe.

– Nie mam z tym kłopotu – odparł Antoniusz.

– Musisz uznać potrzebę, której sam nie jesteś w stanie wzbudzić – ciągnął Makariusz.

– Szukasz tego, czego nie masz – dodała Helena, a w jej głosie słychać było ciężar właściwy komuś, kto mówi na podstawie własnych doświadczeń. – A to, czego szukasz, ma w sobie część duchową.

– To klucz – zgodził się Makariusz. – Zbyt często dostrzegamy brak pokoju, ukojenia, nadziei czy zdrowia, które należą tylko do tego świata. A jednak jakże często problem, z którym się stykamy, to zaledwie wierzchołek góry. Głębiej w nas tkwi większa potrzeba. Ta, która bezpośrednio wiąże się z naszym życiem duchowym. To z jej powodu decydujemy się na pielgrzymi szlak.

Cienie postarzyły Helenę o kilka lat.

– Jesteśmy ściągani w dół przez niesprawiedliwość życia. Ciężą nam cierpienia, na które nie zasługujemy. Przybyłam tu, ponieważ wezwał mnie mój Bóg. Ale mam też swoje powody, swoje potrzeby, swoje nadzieje na lepsze jutro. Wiem, że odpowiedź na ten osobisty apel może przyjść jedynie po mojej wędrówce blisko naszego Pana.

Antoniusz poczuł zdumienie. Z jego palącej potrzeby powstał jakby kocioł, z którego wylały się słowa:

– Spraw, by znów chciało mi się żyć. O taki znak proszę.

Helena przyglądała mu się z uwagą, ale to Makariusz przemówił pierwszy.

– Prosisz o łaskę obdarzenia cię nowym celem życia...

– Owszem. Chyba tak.

Biskup uśmiechnął się do niego.

– Ale jakże Bóg miałby przemienić twój umysł i serce, jeśli o to nie prosiłeś?

Antoniusz nie wiedział, co odpowiedzieć. Milczał.

– Czy w dniu, w którym to się stanie, zgodzisz się dołączyć do mnie na pielgrzymim szlaku? – spytała Helena.

– Tak, moja pani.

– To na razie wystarczy. – Helena wyjęła z przenośnego stolika pergamin i pióro. Antoniusz pomyślał, że chce spisać jego obietnicę. Według rzymskiego zwyczaju, należało sporządzić dokument, na którym znajdą się pieczęcie obu stron. Ale Helena mówiła dalej:

– Mój syn powierzył mi władzę w zakresie mianowania na dowolne stanowisko wojskowe. Pragnę awansować cię na pozycję, która da ci zwierzchność nad każdym, kto do nas dołączy. Niniejszym mianuję cię trybunem. Makariuszu, czy będziesz świadkiem?

– To dla mnie zaszczyt, pani.

Antoniuszowi odjęło mowę. Tak ważne stanowisko! Patrzył, jak Helena kończy pisać i przekazuje pióro Makariuszowi. Wzięła cesarską pieczęć od służki i od-

cisnęła ją na dokumencie.

Gdy podała mu pergamin, zdołał wydusić z siebie jedynie:

– Dziękuję ci, moja pani.

Helena wstała i podeszła do skrzyni, która stała przy jej posłaniu. Otworzyła ją.

– Powierzam ci również odpowiedzialność za nasze fundusze.

Antoniusz wziął do ręki jedno zawiniątko przewiązane cienkim paskiem drewna cedrowego. Złamał pieczęć i patrzył, jak ciężkie złote monety wysypują mu się na dłonie.

Helena zamknęła skrzynię.

– Chciałabym, byś odnalazł rolników. Zapłać im za korzystanie z ich gospodarstwa i zwierząt.

– Moja pani, za jedną z tych monet można by kupić całe to gospodarstwo i jeszcze sąsiednie.

– Doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Sprawdź, czy są wśród nich chrześcijanie. Jeśli tak, powiedz im, by za nadwyżkę zbudowali kościół.

Zabrakło mu słów. Ukłonił się i wyszedł z namiotu.

Przeszedł przez tylną bramę gospodarstwa. Kiedy podążał słabo wydeptaną ścieżką, zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo go korci, by być jeszcze szczęśliwym. To było niebezpieczne, sprawiało, że chciał przyszłości. Kusiło, by mieć nadzieję, że przeżyją.

Rolnicy ukrywali się dokładnie tam, gdzie Antoniusz spodziewał się ich znaleźć. Ich schronienie znajdowało się w jaskini na końcu klifu, dzięki czemu nie było go widać od strony drogi. Kiedy Antoniusz okrążał kamienny cypel, usłyszał śpiew dziecka, ale dźwięk ten był stłumiony. Wbił miecz w ziemię i podszedł bliżej bez broni.

Rolnicy nauczyli się jednak lękać wszystkich Rzymian, uzbrojonych czy nie. Posłali na zwiady pomarszczonego starca.

– Czy są wśród was wyznawcy Jezusa? – zapytał go Antoniusz.

Pod starcem ze strachu niemal ugięły się kolana.

– C-c-co takiego?

Antoniusz wyjął zza pasa sztylet. Stary człowiek jęknął. Był przerażony. Antoniusz kucnął i narysował na piasku rybę. Ów znak stał się uniwersalnym symbolem w tych niebezpiecznych czasach. Można go było łatwo wymazać lub przeobrazić w symbol jednej z sekt świątynnych.

Antoniusz wstał i spytał ponownie:

– Czy są wśród was chrześcijanie?

Człowiek pokiwał głową. Drżał.

– Wszyscy nimi jesteśmy, panie.
– Jak to? Cała wioska?
– I nie tylko. Mój dziad opowiadał mi o dniu nawrócenia. Wcześniej mówił o tym jego dziadek.

- A jednak nie macie kościoła.
- Nie mamy, dobry panie.
- Nadal nauczacie dzieci Drogi?

Starzec pokazał gestem, by Antoniusz udał się za nim do jaskini. Z cienia wyłoniło się kilka przestraszonych twarzy ludzi, którzy słuchali tej wymiany zdań.

– Nasza kryjówka dobrze nam służy. Młodzi poznają treść listów i innych świętych pism. Możesz wejść do środka, panie.

Antoniusz pokręcił głową i odrzucił zaproszenie.

- Słyszeliście o Helenie? – spytał.
- Nie, panie. Ja nie słyszałem.

– To matka Konstantyna, dowódcy wojsk. Zapamiętajcie te imiona. – Antoniusz wyjął dwie złote monety. – To dla was. Przyjmijcie uczciwą zapłatę za nocleg w waszym gospodarstwie i pożywienie. A za pozostałe pieniądze zbudujcie kościół.

Starzec wybałuszył oczy na widok takiego bogactwa. Nie poruszył się jednak, by przyjąć dar.

– To nie jest bezpieczne.

– W kraju obowiązuje nowe prawo. Już nie będziecie nękani z powodu waszej wiary. – Antoniusz wyciągnął rękę i wcisnął starcowi monety. – Przyjmij to jako dowód. I zostań z Bogiem.

W miejscu, w którym szlak stykał się z cyplem, Antoniusz się odwrócił. Starzec nadal go obserwował, a jego twarz lśniła w promieniach wschodzącego słońca.

Wczesnym popołudniem ludzie Fawiana dowlekli się do obozu. Nie nadskakiwali Helenie, byli na to zbyt wyczerpani. Ale ona tak właśnie odbierała ich zachowanie. Jakby kroczyli po ziemi lekko, niczym dworzanie, w obawie, że zepsują nastrój lub zakłóca przepływ powietrza. Powitała ich uroczyście, a oni odpowiedzieli jej takimi samymi pełnymi żalu i wstydu spojrzeniami jak Ewander. Przyjęła ich przeprosiny i odpuściła przewinę. Czowała się przy tym jak ostatnia oszustka.

Wydawało jej się, że dzień wstrzymał oddech. Widok opustoszałych pól jedynie potęgował atmosferę oczekiwania. Przybysze zjedli strawę przygotowaną z zapasów, które przynieśli na plecach, po czym padli wycieńczeni w cieniu i zasnęli. Kratos, jej oddany strażnik, przysiadł na brzegu poidła dla zwierząt. Na przemian przyglądał się majaczącym w oddali wzgórzom i przeszukiwał wzrokiem pole w oczekiwaniu na powrót Antoniusza. Ostrzył przy tym miecz. Dźwięk osetki przeslizgującej się po ostrzu odliczał kolejne minuty. Wyruszą o świcie. Wzgórza czekały. Helena robiła wszystko, by nie patrzeć w tamtą stronę.

Wiedziała, że to prawdopodobnie ostatnie spokojne godziny. Być może to jej ostatni pełny dzień, w którym może zaczerpnąć tchu. Zdawała sobie sprawę z tego, że powinna być wdzięczna za nowych strażników i ich oddanie. Wiedziała też, że powinna odpocząć. Pomodlić się. Przygotować. Ale kiedy mijały kolejne popołudniowe godziny, a Antoniusz się nie pojawiał, co jakiś czas wracała myślami do minionej nocy, podczas której opanowały ją wspomnienia. Wreszcie odszukała Makariusza. Podeszła z nim do płotu i gestem pokazała służce, by ta wróciła do obozu.

- Czuję się obłąkana.
- Nic dziwnego, moja pani.
- Nie boję się śmierci. A przynajmniej nie swojej. Bardzo niepokoi mnie jedynie to, że inni ryzykują życiem. Gdybym mogła, kazałabym im mnie opuścić.
- A co, jeśli dowódca zwiadowców ma rację – służy ci z rozkazu Boga? – Kiedy w odpowiedzi zaczęła tylko chodzić w tę i z powrotem po zaoranej ziemi, biskup ciągnął: – Nalegam, byś nic nie mówiła. Nie zgodzą się na to. Doprowadzi to jedynie do konfliktu. A teraz potrzebujemy spokoju i harmonii.
- Ale ja sama ich w sobie nie mam! – wypowiedziała te słowa w palącym pośpiechu. – Czuję wszystko prócz spokoju! Mój umysł stał się moim wrogiem! Mój mąż prześladowuje mnie po nocach! Nie potrafię wznieść się ponad swoje cierpienia. Nie potrafię zapomnieć. Nie potrafię wybaczyć. Nie widzę wyjścia. Nie mogę skupić się na Bogu. Nie mogę...
- Nie możesz nic zrobić – skwitował jej słowa Makariusz. – Jesteś bezsilna. Bezradna. Bez Bożej pomocy...

To milczące zrozumienie uwolniło niechciane łzy.

- Zawodzę mojego Pana.
 - Robisz wszystko, ale nie to.
 - Czuję się jak oszustka. Rozmawiam z Antoniuszem z taką pewnością siebie! A chwilę później jestem słaba, krucha i zagubiona.
 - Jesteś człowiekiem.
 - Doznałam wizji. Słyszałam głos Pana. Muszę wznieść się ponad te wszystkie łańcuchy, które ściągają mnie w dół.
 - Gdybyś miała siłę, aby to zrobić, czy potrzebowałabyś Go? Gdybyś sama z siebie czuła nieustanny spokój, czy zbliżyłabyś się do Boga?
- Helena zatrzymała się i spojrzała na niego. Makariusz trzymał jedną rękę na lasce, a drugą opierał się o płot. Helenie zdawało się, że po jego naznaczonej bliźniami twarzy przemknął uśmiech.
- Kiedy Pan przyszedł do ciebie? W czasie osamotnienia, prawda? Co powiedział, gdy opuściły cię siła i nadzieja? – Makariusz dźgał ziemię laską. – Ja jestem twoją siłą. Zaufaj mi.
 - Dlaczego nie mówi mi tego teraz, kiedy najbardziej Go potrzebuję?
 - Ponieważ chce, byś była człowiekiem. Pragnie, byś była jak inni ludzie, z którymi będziesz się spotykać, dzielić, mozolić i płakać. Chce, żebyś znała ich cierpienie i przeżyła je. Byś była Jego drogowskazem.

Powróciwszy z kryjówki rolników, Antoniusz zameldował, że przyjęli pieniądze i zgodzili się zbudować kościół. Następnie spotkał się z ludźmi Fawiana i zjadł posiłek. Kiedy wszyscy zebrali się, by uczestniczyć w wieczornej Eucharystii, dołączył do nich. Wziął od kapłana kielich i chleb. Patrzył, jak żołnierze Fawiana łkają z wdzięczności i żalu, kiedy przysła ich kolej. Po wszystkim rozciągnął się na posłaniu, wdzięczny za to, że prześpi chociaż jedną noc bez pełnienia warty. Żołnierze bowiem odpoczywali przez cały dzień i teraz chętnie dzielili się obowiązkami. Leżał i patrzył, jak z ogniska buchają iskry i łączą się z gwiazdami. W oddali majaczyły wzgórza. Czekały.

Wyruszyli rankiem.

Kiedy wlekli się drogą, podszedł do niego Fawian.

- Czy pani zamierza iść piechotą? – spytał.
- Przez całą drogę. Podróżuje jako pątniczka.

Zwiadowca prowadził konia. Poklepał go po boku i wskazał ręką Helenę, która szła przy osle wiozącym kapłana.

- Jaka ona jest?
- Krótco ją znam. Konstantyn posłał mnie do niej z wiadomością. Dołączyłem do nich na Cyprze. – Antoniusz nie miał pojęcia, jak opisać niepewność, którą wzbudzała w nim Helena. To, że była równocześnie zdystansowana i troskli-

wa, odległa i bardzo bliska, natchniona przez Boga i bardzo ludzka, silna i krucha. Zmienił temat.

– Jak daleko stąd do kopalni?

– Na dobrym koniu i bez żadnych ataków można by jechać cały dzień i dotrzeć przed zmierzchem. Pieszko, biorąc pod uwagę niewieście tempo... – Fawian zmrużył oczy w słońcu, które oświetlało drogę przed nimi. – Trzy dni?

– Czy jest tu jakieś miejsce, w którym moglibyśmy przenocować?

– Późnym popołudniem powinniśmy dotrzeć do górskiej doliny. – Fawian się skrzywił. – Ale wątpię, byśmy byli tam bezpieczni.

– Proponuję, byś pojechał na zwiady. Podziel swoich ludzi na dwie grupy, niech idą przed nami i za nami. – Kiedy Fawian dosiadł konia, Antoniusz zatrzymał go ruchem dłoni. – Pani mianowała mnie trybunem.

Zwiadowca mógł zareagować na wiele sposobów. Mógł stwierdzić, że takie mianowanie, uczynione przez matkę dowódcy z dala od armii, ma mniejszą wartość niż pergamin, który Antoniusz trzymał przy sobie. Albo że trudno wymagać od żołnierza pochodzącego z ważnej rzymskiej rodziny, by uszanował stanowisko z takiego lichego nadania.

Zamiast tego spytał:

– Czy wszyscy, którzy do nas dołączą, będą wyznawcami Jezusa?

– Mam taką nadzieję – odparł Antoniusz. *O ile przeżyjemy do czasu, gdy połączymy wojska*, pomyślał.

– Ja i moi ludzie będziemy ci służyć – oświadczył Fawian.

Antoniusz wyraził milcząca wdzięczność.

– Wstrzymamy się z zaprzysiężeniem do czasu... bardziej sprzyjających okoliczności.

Fawian doskonale go rozumiał. Spojrzał na wzgórze.

– Wszystko w Bożych rękach – powiedział posępnie.

Weszli do doliny otoczonej ostro zakończonymi wzniesieniami. Droga biegła prosto w dół do jej serca. Nie docierał tam ani jeden powiew wiatru.

Wczesnym popołudniem poruszali się już z trudnością. Upał dawał się im ostro we znaki. W powietrzu unosił się zapach szczawiu. Pot na skórze wysychał równie szybko, jak się pojawiał. Ludzie Fawiana szli sto kroków przed nimi i sto za nimi. Koń zwiadowcy kłusował ze spuszczonego łbem. Z jego wędzideł kapiała piana.

Wtedy zabrzmiał dźwięk trąby. Zawibrował w zastałym powietrzu, czysty i wyraźny. Cała grupa się zatrzymała. Mężczyźni dobyli mieczy, rozległ się szcęk broni. Antoniusz pierwszy zauważył jakiegoś człowieka.

– Po prawej, na wzgórzu.

Mężczyzna ten był od nich zbyt oddalony, by mogli go rozpoznać po rysach twarzy. Ale połyskujące złoto jego napierśnika lśniło niczym latarnia zwiastująca rychłą zagładę. Fawian zawrócił zmęczonego wierzchowca i ruszył w pogoń. Zabójca obserwował ich z całkowitym spokojem. Dopiero gdy zwiadowca zaczął wspinać się po zboczu, Sewerus zwrócił swojego konia w przeciwną stronę. Puścił się galopem ze wzgórza.

Kiedy Fawian wrócił, oświadczył Helenie:

– Pani, musisz dosiąść konia. Inaczej zginiesz.

Zignorowała jego słowa. Choć trudziła się przez cały dzień i szła wolniej niż mężczyźni, nie osłabła.

Fawian poluzował lejce i poprowadził wyczerpanego wierzchowca do Antoniusza, który pilnował ich z tyłu.

– Czy nie możesz sprawić, by usłuchała? Jeśli na nas napadną, będą celować w nią. Jej życie może zależeć od sprawnej ucieczki.

Antoniusz spojrział na kobietę w szarym odzieniu. Na jej szacie dostrzegł plamy potu. Nosiła się jednak po królewsku.

– Ona nigdy nas nie zostawi.

Fawian zamierzał coś odpowiedzieć, ale ostatecznie z tego zrezygnował. Pognął konia do przodu.

Minęła kolejna godzina. Światło słońca tańczyło i połyskiwało. Wzgórza wydawały się płonąć. Kołysały się i drżały za kroplami potu, które niemal oślepiły Antoniusza.

I właśnie w tej chwili przyszła do niego Rachela.

Wiedział, że to ułuda. Nie był w stanie nic na to poradzić. Oddech skrzypiał mu w uszach. Droga wydawała mu się wstęgą. Jedynym, co widział wyraźnie, była kobieta, której ciało złożył w grobie.

Podczas ciąży Rachela przesiadywała w słońcu jak zadowolony kot. W miarę jak zbliżał się poród ich pierworodnego, coraz trudniej było jej się ogrzać. Siadała z zamkniętymi oczami i głaskała się po brzuchu. Antoniusz często jej towarzyszył, szczęśliwy, że może spocząć w ich małym ogródku i patrzeć na radość, w której było skąpane jej oblicze. Nigdy wcześniej nie śmiał marzyć o tym, by takie szczęście stało się jego udziałem.

Przetarł oczy. Ten ruch przywrócił go do rzeczywistości i pozbawił pragnienia przeżycia kolejnego dnia, zaczerpnięcia kolejnego oddechu. Wszystko stracone.

Kilkanaście kroków dalej nawiedziło go kolejne wspomnienie, przenikliwe i silne jak oślepiające słońce. Nie pamiętał tego aż do tej chwili. Ale teraz obrazy stanęły przed jego oczyma, wyraźniejsze niż dolina, przez którą wędrowali.

O brzasku ostatniego dnia życia Racheli zbudził się i ujrzał ją siedzącą na krześle przy ich łożu. Patrzyła na niego. Zamienili się swoimi zwykłymi miejscami – on odpoczywał, a żona go obserwowała.

– Uczynisz wielkie rzeczy – powiedziała, gdy spostrzegła, że już nie śpi.
Antoniusz walczył ze snem.

– Co takiego?

– Bóg wyszeptał twoje imię. Wezwał cię, byś powstał. Ponad to, gdzie jesteś.

– Pragnę tylko kochać ciebie i nasze dziecko – odpowiedział. Te słowa wy-
dobyły się prosto z jego serca.

– Musisz chcieć wzrastać – powtórzyła łagodnie. – Musisz zostać Jego sługą.

– Służę Konstantynowi – odparł Antoniusz. – To wystarczyłoby każdemu
człowiekowi.

– Będziesz służył im obu. I nie tylko. Poprzez twoje ręce cuda nabiorą
kształtu. Jeśli to przyjmiesz.

Umilkła. Usiadł na brzegu posłania, zwiesił stopy nad podłogą i wziął ją za
rękę.

– Co przyjmę?

Pocałowała go w policzek.

– O to musisz spytać Boga, nie mnie.

Dopiero teraz, kiedy z mozołem pokonywał dolinę, zdał sobie sprawę z tego,
że nigdy nie posłuchał swojej żony. Kiedy w mglistej dali pojawiły się zielone
czubki drzew, zląkł się, że jest już za późno, by wypełnić jej ostatnią wolę.

Dwie godziny później ponure pustkowie zamieniło się w łąkę porośniętą sięgającą pasa trawą. Nadchodziła pora suszy, kruche łądygi szeleściły na gorącym wietrze. Jakby szydziły z Heleny, zdecydowanej zmusić wyczerpane ciało do ruchu. Wtem, w chwili, gdy była gotowa przyznać się do porażki, dostrzegła w oddali palmy.

Jej determinacja osłabła. Helena oparła się o bok osła biskupa, by utrzymać się w pionie. Uwaga wszystkich była skupiona na perspektywie cienia, wypoczynku i wody. Spieszyli przed siebie.

Ujrzeni niewielki staw. Pomiedzy pobliskimi wzgórzami płynęła niegdyś rzeka, teraz widać było jej wyschnięte koryto. Wokół stawu rosły palmy. Przepiórka trzepotała skrzydłami, wybierając drobne źdźbła spomiędzy wysokiej roślinności. Helena usiadła na kamieniu nad wodą i zanurzyła w niej szmatkę. Obmyła twarz, rozkoszując się świadomością, że dzisiejsza wędrówka nareszcie dobiegła końca. Usiłowała skupić zmęczony umysł na myśli, która zaświtała jej zaraz po zejściu z drogi. Tam, nad skrzącą się wodą, jasno ją pojęła.

Musiała sobie wybaczyć.

Z jednej strony, było to niedorzeczne. Cóż takiego uczyniła, by zasłużyć na swój los? Miała prawo cierpieć, czuć się zraniona, zła, a nawet domagać się zemsty. Z drugiej jednak, знаła prawdę. Nie potrzebowała nacisków z żadnej strony. Sama była dla siebie bardziej surowa niż ktokolwiek inny. Nic, co zrobiła, nie wydawało jej się wystarczająco dobre. Całe życie poświęciła dążeniu do bycia lepszą, do ciągłego wzrastania, bycia kimś więcej. To, rzecz jasna, stanowiło jeden z powodów, dla których nadal tak gniewała się na męża. Nie tylko zawiódł jej oczekiwania, lecz także pociągnął ją za sobą.

Fawian nakazał swoim dwóm podwładnym zastawić wnyki, by złapać jakieś zwierzę na posiłek. Kratos i pozostali strażnicy rozbijali namiot dla Heleny. Antoniusz rozkazał zwiadowcom o poobcieranych stopach odpocząć, posilić się i przygotować na noc. Wraz z Fawianem wrócił na drogę. Wspólnie poszli przed siebie.

Helena siedziała w odosobnieniu i toczyła wewnętrzną polemikę. Przebaczenie sobie oznaczało pogodzenie się ze swoją słabością. Niedoskonałością. Skłonnością do popełniania błędów, wciąż nowych. Wątpiła, czy jest zdolna uczynić ten krok.

Antoniusz i Fawian wspięli się na wzniesienie po prawej stronie drogi, między obozem a wzgórzem, które mieli przebyć nazajutrz, o ile przeżyją noc. Wzniesienia nie można było nazwać górą, miało wysokość ledwie dziesięciu mężczyzn. Kształtem przypominało odwróconą misę. Z jego szczytu Antoniusz mógł rozej-

rzyć się po całej dolinie.

Widziany z tej perspektywy obóz stanowił zaproszenie dla wszystkich różbójników świata – jeden namiot, grupka ludzi, umęczony koń. Dym z ich jedyne go ogniska stanowił niemal drogowskaz.

– Moglibyśmy przenieść się tam – zaproponował Fawian z powątpiewaniem i wskazał ręką miejsce.

Antoniusz pokręcił głową.

– To podejście jest tak łagodne, że nawet dziecko by je pokonało.

– Może więc postawimy tu czujkę?

Była to sensowna propozycja, ale Antoniusz zdecydował inaczej.

– I tak jest nas mało. Poza tym wiemy, że Sewerus tu krąży. Wiemy, że nadchodzi.

Nagle wyczuł w otoczeniu jakąś zmianę. Odwrócił się, wdychał gwałtownie powietrze. Trawa zaczynała rosnąć w miejscu, w którym koryto rzeki wylańiało się z za wzgórz i rozchodziło niczym srebrzystoszary dywan. Kończyło się dwieście kroków dalej, prawdopodobnie tam, gdzie rzeka sięgała w porze deszczów. Antoniusz obejrzał się na obóz. Dym znad ogniska unosił się w kierunku klifów. Znów to poczuł. Łagodny powiew wiatru, przypominający oddech, ale wystarczający, by poruszyć suchymi liśćmi. Kiedy wyczuł go po raz trzeci, odwrócił się w tym kierunku. Siła wiatru stopniowo narastała, wiał stamtąd, skąd przybyli.

– Skąd byś zaatakował? – spytał.

Fawian odpowiedział bez namysłu. Wskazał ręką na wąwóz, cieniste zagłębienie między wzgórzami.

– Ustawiłbym ludzi w tym przejściu. Następnie posłałbym kilku jeźdźców przez dolinę z drugiej strony, by odciągnąć uwagę i złupić obóz.

Dokładnie tak samo myślał Antoniusz. Wąwóz był głęboki, dawno temu prawdopodobnie płynęła nim rwąca rzeka. Nad nim wznosił się pionowy występ skalny, wygładzony przez wodospad, który nie spływał tam od wieków.

– Wracajmy do obozu.

Wiatr nasilił się, a słońce zniknęło za górzystym horyzontem. Szczyty lśniły niczym złoto. Były jak pustynna symfonia milczącej chwały. Wędrowcy zebrali się, aby odmówić wieczorną modlitwę. Światło pociemniało, następnie nabrało rdzawej barwy, po czym zbladło, by na koniec ustąpić miejsca nocy, która spowiła ich gwiezdny okryciem. Antoniusz obserwował przemawiającego Makariusza, ale w jego uszach pobrzmiwało jedynie echo ostatniej prośby Racheli.

Usiedli przy ognisku i zjedli pożywny posiłek złożony z pieczonych przepiórek przyprawionych szczawiem, podpłomyków i daktyli. Wypili tyle wody, ile tylko byli w stanie. Żołnierze jedli z apetytem. Część pożywienia odłożyli na długą noc. Antoniusz nie widział potrzeby zostawiania zapasów do rana, którego mogli nie dożyć.

Księżyc pojawił się nad odległym wzgórzem, zmieniając wysoką trawę w srebrzyste morze, które burzyło się na coraz silniejszym wietrze. Liście palm poruszały się gwałtownie, jakby chcąc ostrzec Antoniusza i pozostałych przed ukrytymi wrogami.

Antoniusz wybrał pięciu mężczyzn, w tym Fawiana, i rozstawił ich na terenie pomiędzy obozowiskiem a wąwozem. Każdy miał pilnować niewielkiego ogniska. Resztę ludzi zostawił pod nadzorem Kratosa. Mieli otoczyć teren. Konia Fawiana przywiązał do drzewa, by umożliwić ucieczkę w ostatniej chwili. Postanowił, że jeśli będzie na to czas, ocali cesarzową.

Uczyniwszy to wszystko, oddalił się od obozu. Przed nim rozciągało się skąpane w świetle księżyca wysuszone pustkowie. W oddali dostrzegł krawędź doliny, jej postrzępioną sylwetkę jakby wyrzeźbioną z nocy.

Wiatr niósł ze sobą chłód. Antoniusz okrył ramiona kocem. Starał się wmańić sobie, że lekkie drgania w jego trzewiach to tylko żołnierski instynkt walki, przetrwania i ponownej walki. Ale noc spędzana wśród gór nie pozwalała na tego typu kłamstwa. Poczul, że wracają do niego ostatnie słowa zmarłej żony, które zasiewają w jego sercu nowe ziarno. Kielkowały z zaciekłością, powodując nasilające się zamieszanie, które wypełniało go od środka. Wciąż na nowo, coraz głośniejsz rozbrzmiewały w nim dwa słowa: chcę żyć!

Padł na kolana i skłonił głowę. Kiedy to uczynił, wydawało mu się, że to wewnętrzne zamieszanie zmieniło się w szept tysięcy osób, złączonych z nim w modlitwie, której wypowiedzenie zajęło mu całe życie.

– Panie, jeśli mam umrzeć, niech stanie się to ku Twojej chwale. Jeżeli zaś mam żyć, niech czynię to w służbie Tobie. Cokolwiek mnie czeka, wspomóż mnie w wypełnianiu Twojej woli. Amen.

Gdy podniósł głowę, był pewien, że dołączyła do niego Rachela. Tam, na suchym, chłodnym wietrze i pośród szepczących traw, poczul, że bardzo zbliżył się do nieba.

W drodze do obozu Antoniusz posłyszał tęskne wołanie nocnego ptaka. Dobiegało z oddali, niemal milkło pośród wiatru. Spostrzegł migoczące światło na wysokim wzgórzu nad wąwozem. Ogień przygasł, a następnie zanikł. Po chwili Antoniusz usłyszał warknięcie Kratosa. Stary żołnierz wzywał pozostałych do pełnej gotowości.

Przybyli od strony pustkowia. Konie dudniły kopytami o ziemię. Sylwetki jeźdźców były widoczne w świetle księżyca. Antoniuszowi wydawało się, że ludzie ci mieli specjalnie odwracać uwagę od większego zagrożenia, które czaiło się w trawie. Zaryzykował życie swoich towarzyszy, polegając na tym przypuszczeniu.

Popędził do obozu.

– Idą! Idą! Fawianie! – krzyknął.

Z oddali, pośród hałasu, usłyszał odpowiedź:

– Tutaj!

– Podpał trawę!

Nie czekał na potwierdzenie. Ufał, że zwiadowca wykona rozkaz. Zebrał swoje niewielkie siły i czekał na nadchodzącego wroga.

Drogą pędziło dziewięciu jeźdźców. Mknęli przez trawy w stronę obozu. Blask księżyca odbijał się w ostrzach partyjskiej broni. Na ich czele jechał Sewerus.

Najeźdźcy, przepelnieni żądzą krwi, z krzykiem okrążyli staw. Ze swojej napaści uczynili przedstawienie. Machali nad głowami bronią, gotowi rzucić się na li-che szeregi wędrowców.

– Trzymać się! – Antoniusz nie miał osłony, ale stał pomiędzy dwoma żołnierzami, którzy wyciągnęli przed siebie tarcze. Wbił włócznię w ziemię. Pozostali uczynili podobnie, tworząc w ten sposób śmiertcioną barierę. W ostatniej chwili Sewerus i jego wojownicy skręcili w lewo i przemknęli obok.

– Szykują się do kolejnego ataku! – rzucił Kratos.

– W gotowości! – odkrzyknął Antoniusz.

Usłyszeli syk płomieni.

Ogień rozprzestrzenił się błyskawicznie i niszczył wszystko na swojej drodze. Fawian twierdził, że nie padało od trzech miesięcy. Trawa na obszarach górskich była wysuszona. Gdy Fawian ją podpałił, wzmógł się wiatr. Przerażone konie zatrzymały się i nie chciały iść dalej. Rozbrzmiały krzyki.

– Trzymać się! – Antoniusz obserwował najeźdźców. Wiedział, że to najmniejbezpieczny moment. Pragnienie zemsty może uruchomić nawet samobójczy atak. – Patrzeć przed siebie!

Wtem Sewerus krzyknął do swoich ludzi w dziwnym języku. Najeźdźcy warknęli, po czym zawrócili i zniknęli. Sewerus jechał jako ostatni. W jego uśmie-

chu błysnęła śmierć. Głos zabójcy niósł się, pokonując ryk ognia:

– Spotkamy się jeszcze. Możecie być tego pewni!

Sewerus odjechał. Końskie kopyta dudniły o ziemię. Tętent stopniowo cichł, po czym pochłonęła go noc.

Fawian i jego ludzie zaczęli wynurzać się z ciemności. Wszyscy byli pokryci popiołem.

– Odjechali?

– Na jakiś czas. Heleno? Makariuszu?

– Wszystko dobrze. – Jej głos brzmiał niezwykle spokojnie. – Czy to koniec?

– Jeszcze nie, moja pani. – Antoniusz ruszył w kierunku Fawiana i jego załogi. – Trzeba zachować czujność.

Požoga dosięgła wzgórza, na którym kończyły się trawy. Obserwowali, jak ogień rozdziela się na niewielkie fragmenty, które następnie gasną.

Antoniusz omiótł wzrokiem teren. W świetle księżycy ujrzął w oddali dziewięciu jeźdźców. Przewodził im Sewerus. Dołączyło do nich jeszcze ośmiu mężczyzn na koniach i piechurzy. W końcu Antoniusz i garstka jego towarzyszy stanęli wobec sił, których nie dało się zliczyć. Rozbójnicy ruszyli na nich z lśniącymi ostrzami.

– Smakujcie noc! Wiatr! Nawet popiół! Czyż on was nie przyzywa? Wkrótce poczujecie płomienie swojego stosu, popiół własnej zguby! – krzyczał Sewerus.

– Żaden rzymski żołnierz nie trwoniłby tchu na podobne słowa – mruknął Kratos.

– Sewerus czerpie rozkosz ze strachu swoich wrogów – odparł Fawian. – Nie pozwólcie im wziąć się żywymi.

Ale nim Antoniusz zdołał powtórzyć swój rozkaz, by stanęli w gotowości, usłyszał inny dźwięk. Z drogi dobiegł ich odgłos trąby.

Ten dźwięk był tak niespodziewany, że wprowadził ich wszystkich w bezbrzeżne zdumienie. Po chwili zabrzmiał znowu. Wzywał żołnierzy do broni. Odpowiedziały mu głosy złączone w jeden okrzyk bojowy, nawołujący do walki z wrogiem.

Okolicę zalała istna powódź wojowników.

Byli uratowani.

Godzinę po nastaniu świtu Helena i pozostali wrócili na drogę. Każdego dnia, rozpoczynając wędrówkę, Helena rozmyślała o tym, że nic tak nie skupiało myśli jak perspektywa zaczerpnięcia ostatniego oddechu.

Byli wyczerpani napaścią. Mimo to nie mieli zamiaru zostać w dolinie ani chwili dłużej. Na polach po prawej stronie tliły się pozostałości po pożodze. Na szczęście łagodny poranny wietrzyk nie wiał w ich stronę. Popiół utworzył smugi na odległych wzgórzach, jakby zapisywał mrocznym pismem opowieść o ich ratunku.

Helena szła przy Makariuszu i jego ośle. Co jakiś czas wyciągała rękę i gła-skała zwierzę. Tak naprawdę jednak chciała chwycić biskupa za dłoń. Trzymali się za ręce minionej nocy, kiedy to po raz pierwszy dotknęła go na dłuższą chwilę. Spojrzała na niego. Makariusz patrzył w drugą stronę, ponad spalonym polem, na wąwóz tworzący wielkie pęknięcie między skałami. Był najbrzydszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek widziała. Miał zniszczoną twarz, pooraną głębokimi zmarszczkami. Jego policzki były pokryte dwudniowym zarostem. Co jakiś czas wzruszał ramionami, jakby dręczył go jakiś tik nerwowy. Palce miał sękaty i powykręcane, szatę poznaczoną smugami popiołu i plamami potu, a sandały podarte i nieporadnie zszyte. Jego jedyną ozdobę stanowił prosty drewniany krzyż zawieszony na rzemieniu.

Ale miał też, jak stwierdziła Helena, najbardziej ujmujący uśmiech spośród wszystkich znanych jej ludzi.

– To dzień podejmowania wielkich decyzji – oznajmiła. – Takich, które prowadzą do zmian.

Makariusz przyglądał się zmęczonym żołnierzom. Było ich teraz czterdziestu siedmiu. Ewander, podobnie jak połowa mężczyzn, którzy z nim powrócili, jechał na koniu ze stajni przy kopalni. Antoniusz podzielił wszystkich na trzy grupy. Jadący po zewnętrznej stronie mieli za zadanie patrolować teren, a pozostali zabezpieczali drogę z przodu i z tyłu.

– Antoniusz twierdzi, że wszyscy żołnierze zapytali, czy mogą mu służyć.

– Czyż nie słyszałaś, co postanowiłam?

– Słyszałam, moja pani. Mianowanie go trybunem to był znakomity pomysł. Oczywiście, jeśli wieść o twoich działaniach dotrze do Damaszku, Maksymin wpadnie w szal. – Myśl ta wyraźnie ucieszyła Makariusza. – Twój syn będzie z ciebie dumny.

– Nawet nie znasz Konstantyna.

– Ale coraz lepiej poznaję ciebie, moja pani. – Kiedy biskup się uśmiechał, blizny i zmarszczki zmieniały położenie na jego twarzy i podkreślały jego radość. – A dzięki tobie wizerunek twego syna nabiera kształtu.

– Swego czasu słyszałam wiele komplementów, ale ten jest chyba najpiękniejszy.

Nachylił się do niej.

– Mówiłaś o decyzjach...

– Owszem. – Poczula, że nogi ma jak z ołowiu. Czekala ich bardzo dluga droga w upale. Jesli mieli wydostac sie z doliny, musieli pokonac kolejne strome zbocze. Mimo to Helenę oszałamiało uczucie ulgi. Wspominała godzinę, w której ich napadnięto, krzyki, przeczucie śmierci otaczającej ich ze wszystkich stron.

– Minionej nocy myślałam, że to koniec.

– Było blisko – zgodził się z nią Makariusz.

– Nie wydawałeś się ani odrobinę przestraszony, gdy klęczałeś ze mną w namiocie.

– Zaglądałem śmierci w oczy więcej razy, niż jestem w stanie policzyć. I za każdym razem byłem przerażony. Minionej nocy również. – Potrząsnął lejcami, by odgonić znad oślego ucha muchę. – Mówiłaś o...

– Decyzjach. Owszem. Chcę przestać czuć się pochwycona w pułapkę przeszłości. Chcę wznieść się ponad miejsce, w którym jestem. Chcę, no cóż, stać się lepszą.

– To mądry i wartościowy cel.

– Miniona noc była darem. Ten dzień też jest darem. Chcę mądrze korzystać z tych darów. – Zawahała się, po czym wyznała: – Czuję, że Bóg wzywa mnie, abym sobie przebaczyła.

Mogła spodziewać się wielu reakcji. Na przykład delikatnej sugestii, że powinna poświęcić swoje wysiłki jakiemuś bardziej wzniosłemu celowi. Oczekiwała wszystkiego prócz tego, co nastąpiło. Makariusz uniósł głowę i wybuchnął gromkim śmiechem. Ten dźwięk był tak niespodziewany, że strażę stanęły na baczność. Wszyscy na nich spojrzeli. Ale jeśli biskup w ogóle to zauważył, to nie dał tego po sobie poznać.

– Wyzwanie warte kobiety, którą jesteś.

– Śmiejesz się ze mnie?

– Moja pani, śmieję się z podziwu. Nie ma trudniejszego zadania. Śmieję się, bo czuję ulgę, że Bóg postawił to wyzwanie przed tobą, a nie przede mną. – Potarł swój zarost. – Chociaż wydaje mi się, że i ja powinienem brać pod uwagę takie powołanie. A to budzi we mnie szczere przerażenie.

Pomyślała o rodzinie biskupa i człowieku, który dzierżył nóż. Tego ranka nie widziano Sewerusa. Ale Helena czuła jego obecność. Niemal wyczuwała woń zabójcy.

– Dobry z ciebie człowiek, Makariuszu. Jestem rada, że mam cię przy sobie.

Uklonił się w siodle.

– To zaszczyt służyć pani powołanej do odbycia Bożej wyprawy.

– Nigdy nie pytałeś, czym ta wyprawa miałaby być – zauważyła. – Ani co objawiła moja wizja.

– Zacząłem pytać – wyznał Makariusz. – Minionej nocy, przed atakiem. Chciałem wiedzieć, dlaczego tu jesteśmy, na wypadek...

Pokiwała głową. Zrozumiała.

– Ale potem stwierdziłem, że przyznawanie się do ciekawości ze strachu to wyraz słabości. Dlatego milczałem.

– Nie wiem, dlaczego się powstrzymuję – wyznała. – Wydaje mi się tylko, że jeszcze nie czas.

– Powinnaś więc poczekać – skwitował biskup. – A ja zaczekam z tobą.

Helena zamilkła. Zbocze górskie, które właśnie pokonywali, zawłaszczało całą jej siłę i dech. Pola były opustoszałe. Jediną oznakę nocnej walki stanowił popiół pokrywający ziemię od stawu do wąwozu. Nad poczerniałymi terenami wznosiło się samotne wzgórze. Wszyscy czuli się wyczerpani, ale nikt nie zaproponował rozbicia obozu. Helena i Makariusz szli z dala od innych. Helena wyczuwała, że pozostali chcą traktować ją inaczej – i to dlatego zdecydowała się na odosobnienie. Wiedziała, że nawet jeśli zaproponuje im wspólne przeżywanie wędrówki, dystans pozostanie. Czowała się samotna. A teraz pełnym zmęczenia gestem odrzuciła tę samotność na bok.

– Czy miałaś kiedyś wizję? – spytała Makariusza.

– Jeśli masz na myśli to, czy Bóg przemówił do mnie albo ukazał obrazy z zaświatów, to nie. Jeżeli zaś chodzi ci o to, czy Bóg obdarzył mnie nieprawdopodobnym darem pokoju, kiedy świat skłaniał mnie do rozpacz... – urwał i uśmiechnął się do drogi przed sobą – to odpowiedź brzmi: tak. Poznałem chwałę Pana.

Podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem. Droga lśniła w promieniach słońca. Choć raz ją pociągała.

– Wiem, że czekają nas niebezpieczeństwa. Wiem, że ściga nas wyszkolony zabójca. Wiem, że mam mnóstwo powodów do zmartwień. Wiem, że jestem krucha. Ale pragnę być ponad to wszystko.

Makariusz powoli się odwrócił. Jego zdrowe oko błysnęło. Obserwował ją w ciszy.

– Chcę być gotowa do wykonywania Bożych nakazów. A nie będę, jeśli pozwolę lękom, żalom i złości zapanować nad moim życiem. Chcę odwrócić się od tego wszystkiego i skupić się na Bogu. Ale nie wiem, czy potrafię.

Makariusz wziął ją za rękę, podobnie jak minionej nocy.

– Pomódlmy się o to. I trwajmy w modlitwie. Ufajmy, że Bóg ci odpowie i obdarzy cię siłą, byś mogła słuchać.

O zmierzchu rozbili obóz przy jedynej studni w okolicy. Przygotowali posiłek: podpłomyki, jagnięcinę, tegoroczne winogrona, oliwki i ser. Kiedy skończyli jeść, Helena uklękła, by zmówić wieczorne modlitwy, po czym weszła do namiotu, opadła na posłanie i aż do świtu nie wiedziała, co się z nią dzieje.

O wschodzie słońca patrzyła, jak żołnierze stają w szeregach przed Antoniuszem. Ewander, Fawian i Kratos ustawili się na przedzie. Wszyscy przysięgli, że przynależą do nowej judejskiej kohorty. Czterdziestu siedmiu żołnierzy to jeszcze nie oddział, a tym bardziej nie zaczątek nowej armii. Mimo to Helenę poruszył ów widok.

Następnie Antoniusz zwrócił się do nich:

– Jesteśmy tu po to, by służyć matce Konstantyna i chronić ją. Służąc jej, służyliśmy Konstantynowi, pierwszemu dowódcy w historii Rzymu, który podążył za Zmartwychwstałym. Konstantyn nie wymaga od swoich żołnierzy wyznania wiary, ponieważ uważa religię za sprawę sumienia każdego człowieka. Także w ten sposób wytycza nową drogę. Z radością wita wszystkich wyznawców Jezusa, podobnie jak ja.

Antoniusz cofnął się o krok, odwrócił zgrabnie i spojrzał na Helenę. Skinął na Ewandera, który warknął:

– Baczość, żołnierze!

Kiedy mężczyźni przyjęli odpowiednią pozycję, uderzając stopami o ziemię, Ewander wykrzyknął nowe pozdrowienie, które wymyślił Antoniusz:

– Helena i Jerozolima!

Helenie wydawało się, że odpowiedziało mu więcej niż pięćdziesiąt głosów. Może to przez ciepłe powietrze, a może słowa odbijały się echem od wzgórza, które właśnie pokonali? A może, ale tylko może, ktoś, kogo nie było widać, znalazł powód, by przyłączyć się do krzyczących?

Po zaprzysiężeniu Helena i żołnierze zmówili modlitwę. Nowo przybyli stłoczyli się w pobliżu. Patrzyli, jak Helena bierze kielich i chleb od jednego z mężczyzn i podaje je kolejnemu. Nigdy w życiu nie byli świadkami czegoś podobnego. Pod koniec ceremonii wielu zalało się łzami.

Szli przez cały dzień. Antoniusz postanowił rozbić tej nocy obóz w wiosce przy kopalni. Helena maszerowała drogą, strzeżona przez czterdziestu siedmiu mężczyzn. Wiedziała, że wszyscy oni okryli się hańbą, bo publicznie wyrzekli się swojej wiary. Miała świadomość, że noszą blizny nie tylko po bitwach. Razem zmierzali na południe, ponieważ taki szlak dla nich wybrała. Podążali nim w milczącym zaufaniu. Przysięgli posłuszeństwo, choć nie znali celu wędrówki.

Przywykła do realiów władzy – przystawanie na czyjąś bliskość pociągało za sobą ryzyko, że zostanie się poproszonym o coś, czego trzeba będzie odmówić. A

kiedy odrzuci się prośbę, zyska się wroga. Z drugiej strony, sojusznicy rozumieli potrzebę zachowywania dystansu. Minęło sporo czasu, nim Helena nauczyła się swobodnie wymawiać słowo „przyjaźń”.

Było to jedyne słowo, jakie określało jej uczucia względem tych mężczyzn. Odrzuceni przez społeczeństwo, nękanii za wiarę, uważani za niewartych więcej niż najokrutniejszy strażnik więzienny... Jej przyjaciele.

W południe zatrzymali się na odpoczynek. Nie było studni, ale konie nakarmiono i napojono przed wyjazdem rano. Poza tym wszystkie dźwigały bukłaki. Od strony morza, które skryło się za wzgórzami o łagodnych zboczach, powiewała lekka bryza. W powietrzu czuć było mocny zapach soli. Większość żołnierzy rozsiadła się w miejscu, z którego dało się dostrzec chmurę piasku mającą na południu. Helena wiedziała, że ta żółta mgła unosi się nad kopalnią zwaną Phanaeo i że dla wielu jej towarzyszy jest niczym chorągiew wskazująca miejsce popełnienia najgorszych, najbardziej haniebnych czynów. Czowała potrzebę pokonania własnych ograniczeń. Znalazła kilka drzew, których pnie stanowiły wygodne oparcia, i usiadła tyłem do drogi prowadzącej na południe. Posiliła się i pomyślała, że jeśli nie będzie w stanie dokonać zmian dla siebie, to może przynajmniej starać się zostać przywódczynią, na jaką ci mężczyźni zasługiwali.

Kiedy jadła, usłyszała rżenie konia. Jeden ze zwiadowców powrócił. Nie zadała sobie trudu, by się obejrzeć. Słuchała, jak Fawian składa raport.

– Na drodze przed nami jest czysto.

– Są jakieś oznaki obecności Sewerusa? – spytał Antoniusz.

– Zauważyliśmy kilku Partów. Ale nie zeszli ze szczytów odległych wzgórz. Śledzą nas, tyle mogę powiedzieć. Nie mam pojęcia, czy Sewerus jest wśród nich.

Fawian zamilkł na dłuższą chwilę.

– Czy cesarzowa zdaje sobie sprawę z tego, co nas czeka?

Helena chciała ujawnić swoją obecność, ale zanim wstała, usłyszała odpowiedź Antoniusza:

– Helena jest matką jednego dowódcy i była żoną drugiego. Wie, z czym wiąże się rzymska kopalnia.

– Wie, że Phanaeo powstało tylko po to, by trzymać tu chrześcijan? Że kiedy zabrakło już miejsca dla więźniów, z Damaszku przyszedł rozkaz, by pozyskiwali sól z morza? – Fawian wkładał dużo wysiłku w mówienie. – Wie, że nakazano nam, zaprzysiężonym żołnierzom, przyspieszać ich śmierć?

W głosie Antoniusza pobrzmiwał niepokój, który narastał i w sercu Heleny.

– Kiedy dotarła do Cezarei, w pierwszej kolejności odwiedziła arenę. Spytała strażnika, gdzie trzymają chrześcijan.

– Dlaczego?

– Nie powiedziała. Ale podejrzewam jedno: cesarz w Damaszku otrzymał już wieści od swego namiestnika, że ona tu jest. Przeczytał kopię edyktu mediolań-

skiego. Cóż uczyni? – Gdy Fawian w odpowiedzi tylko z wysiłkiem zaczerpnął tchu, Antoniusz dokończył: – Rozkaże, by zgładzić wszystkich więźniów i ukryć ich szczątki. Wyprze się wszystkich swoich działań. Być może nawet pozbędzie się żołnierzy, którzy pilnowali kopalni, by nie przetrwał ani jeden człowiek mogący świadczyć przeciwko niemu.

– A zatem Helena...

– Helena idzie wypełnić Bożą wolę.

Kiedy nazajutrz mężczyźni się modlili, a następnie zwijali obóz, wyczuwało się wśród nich coraz bardziej posępny nastrój. Helena wiedziała, że powodem jest to, co ich czekało. Żółta chmura zaznaczała się wyraźnie, dominowała nad horyzontem. Mimo to Helena pozostawała niewzruszona. Jej myśli opanowało coś, co przyszło do niej podczas wspólnej modlitwy. Było to więcej niż wspomnienie, ale mniej niż wizja. Czowała się tak, jakby przyjaciel wyszeptał jej do ucha wiadomość. Niemal słyszała ten głos, choć przecież nie padło ani jedno słowo. Wszystko to było tak przedziwnie piękne, że potrafiła teraz kroczyć w kierunku złowrogiego żółtego pyłu i pozostać nieugiętą.

Wspominała ostatnią noc w obozie ojca i swoją rodzinę. Jej członkowie byli rybakami i rolnikami. Ci hardzi ludzie rzadko podróżowali i nie szukali zaszczytów w bitwach. Do obozu ojca Heleny przychodzili zarówno żołnierze, jak i zwykli ludzie. Jej rodzina była pierwszą w klanie, która poznała Jezusa jako Pana. Stało się to za sprawą pewnego wędrowca, człowieka, który sam siebie zwał kapłanem bez kościoła. Helena przywoływała teraz w myślach jego głos, w którym płonął święty ogień, gdy mężczyzna mówił o Zmartwychwstałym.

Droga wiała się już w kierunku ostatniego wzgórza. Helena wyszeptala zarówno do wspomnień o ojcu, jak i do Ojca Niebieskiego:

– Chcę, byś był ze mnie dumny.

Kiedy pokonali wzniesienie, ujrzeli kopalnię.

Wyrobisko miało kształt przepołowionej misy. Było zwrócone w stronę morza. W skałach wryto ogromne schody, co upodabniało kopalnię do makabrycznego teatru. Na dole, tam, gdzie powinna znajdować się scena, szerokie wyrobisko było podzielone na równoboczne części. Schnąca sól odbijała światło słoneczne.

Za składowiskiem soli, przy brzegu, zakotwiczone kilka statków. Oczekiwały na załadunek.

Po przeciwnej stronie wyrobiska wisiały dwa krążki linowe. Mechanizm ten służył do przemieszczania ogromnych wiader do gigantycznych kamiennych pieców, w których czyszczono i wytapiano miedź. Dniami i nocami płonął w nich ogień. Pośrodku znajdował się spory występ skalny. Po bokach widać było szeregi kamiennych mieszkań. Helena domyślała się, że to tam zaczęto wydobywać miedź. Wyżłobione przez ludzi jaskinie ciągnęły się aż do klifów i służyły teraz za cele dla więźniów. Helena poczuła nagle ogromne pragnienie, jakby los więźniów stał się jej udziałem.

Wraz z Makariuszem, Antoniuszem, Kratosem, Fawianem i Ewanderem stanęła, by przyjrzeć się kopalni. Reszta żołnierzy została z tyłu. Najwyraźniej męż-

czyżni wstydzieli się roli, którą odegrali w tej tragedii.

– Dlaczego jest tak cicho? – spytała Helena.

– Wiedzieli, że nadchodzimy – odpowiedział Fawian chrapliwie, jakby i jemu dokuczało pragnienie.

– Co to oznacza?

– Zrobiją z więźniów zakładników – wyjaśnił jej Antoniusz. Na jego twarzy malował się strach. – Jeśli zaatakujemy, strażnicy zarzną ich wszystkich.

– W każdym razie jawna napaść może być niebezpieczna – dodał Fawian. – Dwie ścieżki prowadzące do głównej półki skalnej są bardzo wąskie. Będziemy zmuszeni przebić się tam gęsiego.

– Podejrzewam, że Sewerus tylko na to czeka – stwierdził Antoniusz. – Zaatakuję nas od tyłu, kiedy rozluźnimy szyk.

Kratos odwrócił się i popatrzył na pustą drogę.

– Nie widzę go.

– Jest tutaj – odpowiedział Antoniusz, nie spuszczać kopalni z oka.

– Skąd wiesz?

– Czuję jego zapach. Ciągnie się za nim odór śmierci.

– Nie uczynimy nic, co mogłoby narazić życie więźniów.

Antoniusz i Makariusz wymienili spojrzenia.

– Być może istnieje alternatywa... – stwierdził biskup.

Helena zdała sobie sprawę z tego, że właśnie o tym mężczyźni rozmawiali wcześniej.

– Jaka?

– Możesz z nimi porozmawiać – powiedział Antoniusz.

– Co takiego?!

– Możesz zwrócić się do strażników. Dać im powód, by przeszli na naszą stronę.

Fawian spojrzał na Antoniusza z powątpiewaniem.

– Ci, którzy nie wrócili z Ewanderem, wyrzekli się człowieczeństwa.

– Nie znasz potęgi naszego Zmartwychwstałego, który zbawia skazanych na zgubę i pozbawionych nadziei – odciął się Makariusz.

Fawian pokręcił głową.

– Obawiam się, że głęboko pograżyli się w gorzkiej rozpacz. Są głusi i niezdolni do refleksji.

Antoniusz zwlekał z odpowiedzią, jakby ważył słowa, nim je wypowiedział.

– Ja dopiero zaczynam pojmować potęgę głosu Boga, nawet kiedy On milczy. Pan potrafi dotrzeć do człowieka zagubionego w żalu, skrywającego się we własnej jaskini. Nawet wtedy może go dotknąć i sprawić, by znów zapragnął żyć.

Helena czuła, że łzy napływają jej do oczu, choć nie była w stanie stwierdzić, dlaczego.

- Nie jestem oratorką.
 - To z twojego powodu tu jesteśmy – odpowiedział Antoniusz z prostotą.
 - Nie mam władzy nad tymi żołnierzami.
 - To nie tobie powinni być posłuszni – stwierdził Makariusz.
- Odwróciła się i przyjrzała ponuremu krajobrazowi.
- Co mam im niby powiedzieć? – spytała lekko piskliwym głosem.
 - Prawdę – odparł biskup.
- ***

Na znak kapłana pozostali dołączyli do modlitwy. Mężczyźni przyjęli postawę pełną szacunku i skłonili głowy, podczas gdy Makariusz wypowiadał słowa, które do Heleny ledwo docierały. Nie tyle zamknęła oczy, ile zacisnęła całe swoje ciało. Kiedy biskup umilkł, zmusiła się do otwarcia oczu, wzięła głęboki oddech i ruszyła do przodu, po czym przysiadła samotnie na krawędzi wyrobiska.

Zawsze przerażały ją publiczne wystąpienia. Wiedziała, że jeżeli nie zacznie natychmiast, nie będzie w stanie tego zrobić. Wpatrywała się w opustoszałą kopalnię i myślała jedynie: *Nie zawiodę moich przyjaciół ani Boga.*

Własny głos wydał się jej o oktawę wyższy niż zwykle. Skórę na twarzy i szyi miała napiętą. Jej słowa niosły się w bezwietrznym, gorącym powietrzu.

– Mam na imię Helena. Niektórzy zwą mnie cesarżową. Inni augustą. Nie jestem żadną z nich. Byłam kiedyś żoną. Teraz i nią nie jestem. Jestem nikiem, jedynie służebnicą zmartwychwstałego Pana. I przekazicielką Jego świętej woli.

Kopalnia była pusta i cicha. Helena mówiła do słońca i skwaru. Za blokami solnymi widziała morze. Kamiennie mieszkania wzdłuż żółtego klifu były skąpane w promieniach słońca. Panował bezruch. Ale czuła na sobie spojrzenia.

– Przybyłam do tej krainy, ponieważ zostałam wezwana. Przemówił do mnie Pan. To był On. Jestem tego pewna jak własnego imienia. Powiedział mi, abym tu przybyła i wypełniła święte zadanie.

Uniosła dłoń, w której trzymała pergamin.

– Oto pierwszy edykt mojego syna Konstantyna. Nazwa tego dokumentu pochodzi od miasta, w którym go podpisano. Edykt mediolański. Zapewnia on wolność wszystkim chrześcijanom. Już nie są niewolnikami. Ich strażnicy zostają zwolnieni ze swoich wstrętnych obowiązków. Czy mnie słyszycie? Rzym was wyzwala!

Od strony pustego żółtego wyrobiska usłyszeli jakby donośne westchnienie. Nie były to słowa ani okrzyki. Wiele tysięcy ust otworzyło się i uwolniło ciała od ciężaru strachu i napięcia. Westchnienie było łagodnym wyrazem wyzwolenia, lekkim niczym niewidzialne skrzydła.

Helena przemówiła mocniejszym głosem:

– Mój Pan powiedział mi, że przybędę tutaj i objawię Jego potęgę mroczne-

mu, zdruzgotanemu światu. Nie chciałam tu przychodzić. Słuchaj uważnie, mój ludu. Poprosiłam, by Pan zabrał ode mnie ten obowiązek. Byłam wyczerpana, cierpiałam, byłam sama i czułam lęk. Tak, lęk! A On powiedział, że Jego potęga zostanie objawiona przez moją słabość!

Opuściła rękę i stała, spoglądając na skąpane w słońcu wyrobisko. Jego przeciwna strona wydawała się drżeć w gorącym powietrzu.

– Proszę, byście dołączyli do mnie w tej świętej wyprawie, zjednoczyli się ze mną w Bożej misji! Pójdźcie i zobaczcie, jak Zmartwychwstały czyni cuda! Pójdźcie ze mną do Jerozolimy!

Godzinę przed świtem Helena i jej towarzysze obserwowali, jak ludzie niosący pochodnie schodzą ścieżką na plażę. Kopalnię opuszczało ponad stu strażników. Ci, którzy odchodzili, wzięli ze sobą wszystko, co byli w stanie unieść. Choć Helena nie miała pojęcia, w jaki sposób zdołają wykarmić tych, którzy pozostali, bez żalu patrzyła, jak uczestnicy procesji umykają z zapasami żywności. Przed nią dokonywał się cud. Antoniusz był przekonany, że oto patrzą na odwrót swoich nieprzyjaciół.

Pozostali na półce skalnej nad kopalnią. Na galerach podniesiono żagle. Wody marszczyły się w blasku wschodzącego słońca. Wreszcie statki opuściły skałisty przylądek i popłynęły na północ, w kierunku Cezarei.

– Chcę zejść tam z grupą zbrojnych, by upewnić się, czy wszyscy ludzie podlegli Damazkowi odpłynęli – oświadczył Antoniusz.

– Nie zgadzam się na to.

– Moja pani. – Machnął ręką w kierunku odpływających okrętów. – Nie ma innego sposobu, by przekonać się, czy nie planują zasadzki.

– Nie pójdziemy tam z mieczami, pełni gniewu.

– Moja pani...

– Przyszliśmy w pokoju Pańskim. – Nie nalegała. Nie rozkazywała. Raczej prosiła – jak uczyniłby to przyjaciel. – Muszę ci zatem towarzyszyć.

Gdy zaczęli schodzić, spojrzała za siebie na Fawiana, który został z żołnierzami na górze. Antoniusz prowadził, za nim szli Kratos i Ewander. Za chwilę pójdą gęsiego stromą ścieżką.

Strażnicy w milczeniu obserwowali, jak Helena i jej towarzysze docierają do występu skalnego. Wiatr wiał tego dnia od strony lądu. Do miejsca, w którym stała Helena, nie docierał żaden powiew. W powietrzu dawało się wyczuć napięcie.

Antoniusz spojrzął na Ewandera. Ci dwaj porozumiewali się bez słów. Ewander ruszył do przodu i zawołał chrapliwie:

– Oddajcie cześć swojej cesarzowej!

Rozległ się przeszywający dźwięk uderzeń pięści o skórzane napierśniki. Helena zwalczyła w sobie chęć przypomnienia zgromadzonemu, że nie nosi już żadnych tytułów. Uwypuklały one jedynie wszystko, co straciła. Stwierdziła jednak, że w zasadzie to nie ma znaczenia. Nie w obliczu wszystkiego, co niósł ze sobą ten dzień.

Antoniusz odwrócił się do niej.

– Moja pani?

Przez chwilę przyglądała się żołnierzom. Prawie wszyscy przybyli z przyległych terytoriów. Byli to najemnicy i rekruci z pokonanych plemion. Wodzowie oddali ich na służbę jako część hołdu składanego Rzymowi. Helena naliczyła stu

dwunastu mężczyzn. Wszyscy stali na baczność. Czekali.

Zaczęła mówić:

– Rozkazuję wam uwolnić więźniów. Następnie ich nakarmicie. Po spełnieniu tego ostatniego obowiązku zostaniecie odprawieni.

Słowa te wywołały wśród zgromadzonych poruszenie. Mimo to wszyscy zachowali pozycję, jak przystało na wyszkolonych żołnierzy. Nagle odezwał się ktoś z tylnego szeregu:

– Dokąd mamy pójść?

– O tym sami zdecydujecie. Ale tę kopalnię niniejszym uznaję za zamkniętą. Na zawsze. Niech jej nazwa zniknie z kart historii.

Ktoś inny zawołał:

– A jeśli zechcemy zostać z tobą?

Helena pozwoliła, by pytanie to zawisło w powietrzu. Nie miała pojęcia, jakiej odpowiedzi udzielić. Niebezpieczeństwo, które na nich czyhało, było bardzo realne. A jednak rozmowa na ten temat wydawała się kpina z cudu, którego byli świadkami: ich przeciwnicy pomaszrowali na wybrzeże, załadowali statki i odpłynęli.

Ku jej zdumieniu, Antoniusz spytał żołnierzy:

– Czy pójdziecie ze swoimi byłymi więźniami jak z braćmi?

Zapadła kompletna cisza.

– Czy będziecie walczyć w ich obronie? – dodał Ewander.

– Czy porzucicie dla nich swoje dotychczasowe życie? – ciągnął Antoniusz.

Po dłuższej chwili zabrzmiał trzeci głos:

– W imię Boże!

Fawian stanął u boku Heleny.

– Moja pani, myliłem się, gdy wątpiłem – powiedział łagodnie.

Zanim sformułowała stosowną odpowiedź, Antoniusz rozpiął pas mieczowy i podał go Ewanderowi. Następnie uniósł skórzany napierśnik i również podał go oficerowi. Ewander musiał wiedzieć, że to się wydarzy, ponieważ podszedł do jednego ze swoich ludzi. Ten trzymał szare odzienie podobne do tego, jakie miała na sobie Helena. Antoniusz przyjął tę szatę i włożył ją.

Pozwolił, by zgromadzeni przyjrzeni mu się: przełożonemu odzianemu w chłopski strój.

– Nie wiem, dlaczego idziemy do Jerozolimy – mówił. – Nie muszę wiedzieć. Helena powiada, że została powołana do tego zadania przez Pana Jezusa. Przyjmuję to jako niezaprzeczalny fakt. Od dziś będę szedł u jej boku jako pielgrzym. Wszyscy, którzy pragną dołączyć do nas, są mile widziani. Ale wiedźcie jedno. Ci, którzy kroczą z nami, nie są już więźniami ani strażnikami. Wszyscy jesteście braćmi w Chrystusie

U drugiego boku Heleny stanął Makariusz.

– Cud za cudem – mruknął.

Helena kiwnęła głową, po czym z trudem przełknęła ślinę. Walczyła z zalewającymi ją emocjami. Będzie silna. Dla nich.

Nabrawszy pewności, że jest w stanie zapanować nad swoim głosem, przemówiła:

– Antoniuszu...

– Moja pani.

– Uwolnij tych, którzy już nie są więźniami.

Przez kolejne trzy dni Helena przyzwyczajała się do swojej nowej roli. Nigdy nie czuła się bardziej zaabsorbowana czymś ani bardziej spełniona. Nawet pomimo żalu – w tym czasie stracili bowiem dwóch byłych więźniów – wiedziała, że jej życie zmieniło się na zawsze. I najpewniej zmiana ta była dobra.

Kiedy żołnierze przygotowywali się do drogi, Helena większość czasu spędzała nad morzem. Skład soli graniczył z wąską plażą. Rozbito tam otwarte namioty, by najbardziej cierpiący spośród więźniów mieli ochronę przed słońcem i mogli czuć chłodną bryzę. Część z nich odmówiła przyjmowania jedzenia z rąk żołnierzy skierowanych do pilnowania garnków, które Helena nakazała podgrzewać dniami i nocami. A i niektórzy żołnierze nie zamierzali być traktowani jak słudzy. Helena rozwiązała ten problem na dwa sposoby. Po pierwsze, polegała na wojach i byłych strażnikach, którzy wykonywali swoje obowiązki, a jednocześnie nie potępiała pozostałych. Po drugie, więźniów, którzy nie ufali strażom, karmiła osobiście. Postrzegala to jako powrót do korzeni. Zostawiła za sobą przywileje, jakie zapewnił jej Rzym, i znów stała się córką właściciela oberży. Dostrzegła Bożą logikę w tej podróży do najdalszych zakątków imperium – odbywała ją, by wrócić do początków.

W obozie znajdowały się wozy służące do przewożenia miedzi i soli. Antoni i żołnierze wypełnili kilka z nich zapasami. Helena wygotowała koce, po czym przeznaczyła pozostałe wozy do transportu byłych więźniów, którzy nie mogli iść ze względu na stan zdrowia. Wszyscy uwolnieni błagali o możliwość udania się z nimi – nawet ci, których ostrzegano, że mogą nie przeżyć podróży. Helena była zdecydowana wypełnić ich ostatnią wolę.

Każdego świtu gromadzili się na modlitwie wzdłuż krawędzi żółtego wyrobiska. Słońce odbijało się w morzu. To zwiastowało, przynajmniej dla Heleny, nadzieję na lepsze jutro. Choć rzadko zabierała głos podczas nabożeństw, miała poczucie, że jej obecność koła wrogość między strażnikami a byłymi więźniami. Wielu żołnierzy obawiało się przyszłości, a liczni więźniowie dostrzegali jedynie to, co przecierpieli. Rodzina, zdrowie, ziemia, majątek – wszystko to utracili. Mówili o tym Helenie, która słuchała, karmiąc ich, myjąc, modląc się i kojąc ich ból. Rzadko kiedy odpowiadała, ale jej milczenie było jak leczniczy balsam. Miała je dla każdego, kto tego oczekiwał.

Trzeciego popołudnia zebrali się raz jeszcze na nabożeństwie żałobnym. Makariusz polecił Ewanderowi uderzyć w długą metalową rurę – wcześniej był to sygnał w kopalni. Żołnierz miarowo wybijał wolny rytm. Przed każdym uderzeniem robił przerwę, jakby to był wielki dzwon ogłaszający koniec walki, rozpaczy i sporów. Wszyscy prócz żołnierzy strzegących całej grupy zeszli lub zostali zniesieni wąską ścieżką. Zebrali się wzdłuż klifów górujących nad blokami solnymi. War-

townicy, którzy zostali w kopalni, wydawali się Helenie maleńcy. Tak jakby tam na dole, pośród ludzi zebranych po to, by pomodlić się za dusze, które dopiero co odeszły, trudno było dostrzec ziemskie zagrożenia.

U stóp zbocza wydrążono niewielkie pieczary, które stały się kryptami. Makariuszowi za ołtarz posłużył kopiec ziarnistej, nieoczyszczonej soli. Biskup wypowiedział słowa błogosławieństwa. Gdy nabożeństwo dobiegło końca, Helena patrzyła, jak zdrowi wspinają się ścieżką i wracają do swoich obowiązków. O zachodzie słońca poczuła, że jej niepokoje i smutne wspomnienia bledną. Jej życie było po prostu zbyt wypełnione, by starczyło w nim miejsca na gorzki żal.

Tamtej nocy, po raz pierwszy od prawie roku, spała spokojnie.

Pierwszej nocy na drodze do Jerozolimy zwołali naradę wojenną.

Bez wątplenia stanowili osobliwą grupę. Zhańbieni oficerowie z różnych legionów siedzieli u boku nowo mianowanego trybuna, który nie miał armii. Dołączyli do nich przełożeni straży opustoszałej kopalni. Sześciu byłych więźniów mianowano starszyzną oswobodzonej wspólnoty. Zgromadzenia doglądali kapłan, którego kościół starto z powierzchni ziemi, i cesarzowa bez tronu. Makariusz rozpoczął modlitwę. Helena pomyślała, że nigdy nie czuła się bardziej na swoim miejscu.

Antoniusz zwrócił się do byłych strażników:

- Powtórzcie innym to, co mi powiedzieliście.
- Sewerus był w kopalni.
- Kiedy?
- W nocy przed waszym przybyciem. Rozmawiał z przełożonymi. Rozkazał im ściągnąć was na ścieżki i występ skalny. Wtedy zaatakowałyby wasze tyły.
- Dokładnie tak, jak przypuszczaliśmy – stwierdził Antoniusz.
- On nie da za wygraną – martwił się Fawian. – Jest tu w tej chwili. Nie mam co do tego wątpliwości.
- Jest coś jeszcze – odezwał się oficer straży, tęgi, zaniedbany człowiek, któremu wyraźnie nie w smak było uczestnictwo w tym zgromadzeniu. – Rozkazał nam zachować was i panią przy życiu. Powiedział, że chce...
- Wystarczy – przerwała mu Helena. – Nie ma potrzeby brukać tej nocy rozmową o takich nikczemnych zamiarach.
- Co zamierzasz, moja pani? – spytał Antoniusz.
- Nic się nie zmieniło. Idę do Jerozolimy. Usiłuję wypełnić wolę Pana. – Rozejrzała się po zgromadzonych. Każdemu z mężczyzn popatrzyła prosto w oczy. – Nie poprosiłam was tutaj, byście dyskutowali o taktyce walki. Nasza droga została wyznaczona. Chciałam, by każdy z was pojął, jakie ponosi ryzyko, pozostając z nami. Wszyscy możecie odejść. Odprawimy was z pieniędzmi i zapasami.

– Zniszczyli moją wioskę – powiedział jeden z więźniów.
– Możesz ją odbudować. Pomożemy ci.
– Skąd pewność, że ludzie z Damaszku nie wrócą?
– Nie ma takiej pewności. Ale jeśli zdecydujecie się odejść, wspomozemy was. To wszystko, co mogę wam obiecać.

Odprawiła ich. Dalsza dyskusja w niczym by nie pomogła. Albo postanowią podróżować u jej boku, albo zrezygnują. Kiedy wszyscy wyslizgnęli się z namiotu, Helena rozkazała Antoniuszowi i kapłanowi, aby zostali. Wzięła od służki gliniany dzbanek i podała im wodę.

– Ilu nas jest? – spytała Antoniusza.
– Dziewięćdziesięciu trzech strażników i ośmiuset dwudziestu byłych więźniów.

– Dziewięćdziesięciu trzech żołnierzy – poprawiła go.
– Tylko jakieś trzy tuziny z nich służyło w legionach – odparł. – Pozostali to najemnicy, dla których było to po prostu lekkie życie.

– A jednak zostali.
– Pytałem kilku. Wydaje się, że poznali Jezusa dzięki tym, których pilnowali.

Helena wpatrywała się w noc.

– Dlaczego wszyscy byli więźniowie idą z nami?
– Niektórzy dlatego, że stracili wszystko i nie mają dokąd pójść. Inni obawiają się ponownego aresztowania po powrocie do domów. Przypuszczam, że niektórzy odejdą po drodze, kiedy tylko przyzwyczają się do wolności.

– A pozostali?

Tym razem odezwał się Makariusz:

– Pragną cudu.
– Słyszałem to już tyle razy, że przyjmuję to za prawdę – zgodził się Antoniusz. – Wierzą, że jesteś tutaj, by czynić wielkie rzeczy. Mają nadzieję na cud w swoim życiu. Chcą pójść i...

– Tak? I co?

– I być świadkami Bożej obecności – odpowiedział Makariusz. – Nic więcej nie potrafią powiedzieć. Nie wyjawiaś, jaka jest twoja misja.

– To Boża misja, a nie moja.

– Zrobią wszystko, o co ich poprosisz. Podobnie jak ja i pozostali – zapewnił Antoniusz.

Przyglądała się jego odzieniu z szarej tkaniny. Od poranka nie miał na sobie nic innego.

– A oto jesteś. I towarzyszysz mi jako pielgrzym.

– Podzielałam ich zaufanie do ciebie.

– Czy Pan wysłuchał twojej modlitwy? Wskazał ci cel?

– Nie do końca. – Antoniusz wpatrywał się w kubek, który trzymał w dłoniach. – Straciłem wszystko, na czym mi w życiu zależało. Nie mam już żony i syna. Przyszedłem tutaj bez celu i pragnienia życia.

– A teraz?

– Chcę doprowadzić to do końca. Czuję...

– Mów dalej.

– Czuję bliskość mojej żony bardziej niż kiedykolwiek od czasu jej śmierci. Stałem przy ołtarzu. Modłę się. Na tę chwilę to wystarczy.

– Mój syn byłby z ciebie dumny. Ja jestem. Przyszedł czas, bym podzieliła się z wami moją wizją.

Ta wizja nawiedziła ją dziewięć dni po wygnaniu. Straciła dom, a także każdy skrawek przyszłości, który uznawała za swój. W drodze towarzyszył jej Kratos, posłaniec akt rozwodowych. Podróżowała do obozu wojskowego syna, kiedy dotarła do niej wieść o tym, że armię Konstantyna czeka bitwa, której nie jest ona w stanie wygrać. Helena czuła się opuszczona i miała wrażenie, że zmierza ku swojej zagładzie.

Tamtego ranka, wypowiedziawszy kilka suchych słów modlitwy, przygotowywała się do przeżycia kolejnego pustego dnia. I wtedy przyszła do niej wizja.

Helena nie miała poczucia oddzielenia od rzeczywistości. Dokładnie wiedziała, gdzie się znajduje, w każdej chwili. Po prostu nie miało to już znaczenia. Nie liczyło się nic poza wizją. Nie było miejsca na nic innego.

Zobaczyła, jak ludzie podnoszą krzyż – coraz wyżej i wyżej, do pochmurnego nieba. Następnie drewno zanurzyło się w ziemi. Stała za krzyżem, co uznała za dobre, ponieważ wiedziała, że gdyby wtedy patrzyła wprost na Jezusa, w ostatnich godzinach Jego agonii, nie przeżyłaby tego. Nie były to jej przemyślenia. Po prostu o tym wiedziała.

Obserwowała, jak niebo ciemnieje, Zbawiciel wydaje ostatnie tchnienie, a świat spowija mrok. Wiedziała, że całun okrywający niebo stanowi jedynie odzwierciedlenie żalu Ojca. Nie odczuwała skruchy, choć zdawała sobie sprawę z tego, że jak każdy inny człowiek była winna skazaniu Jezusa na śmierć na ziemskim padole. Wpatrywała się w żal samego Ojca. Przez ten akt świat miał się ku Niemu nawrócić. Było to konieczne, Jezus poddał się temu z własnej woli. A mimo to Pan Wszelkiego Stworzenia ubolewał nad tym wydarzeniem. A z Nim cały świat. A najbardziej Helena.

Kiedy wizja dobiegła końca, Helena na powrót znalazła się w swoim namiocie. Usiłowała dojść do siebie. Wówczas miejsce to wypełniło się Obecnością. To wtedy Bóg do niej przemówił.

Pan postawił przed nią konkretne zadanie. Wykona je. Dla Niego i dla świa-

ta. Ponieważ o to poprosił.

Podczas opowieści Helena na nowo przeżywała tamto spotkanie. Ten akt dzielenia się wytworzył pomiędzy nią a słuchaczami więź równie silną i wyraźną co chwila, w której usłyszała Boży głos. Przyglądała się obu mężczyznom i wiedziała z całą pewnością, że czuli to samo. Jej słowa stanowiły wrota, przez które do ich namiotu zawitał Duch.

Skończywszy, usiadła i czekała. Przywołała w pamięci tamten świt, najgorszy w jej życiu. Straciła niemal wszystko. Jej życie legło w gruzach i znalazło się w niebezpieczeństwie. Nie posiadała już domu, pieniędzy, tytułu, a jej syn miał nie przetrwać nadchodzącej bitwy. Nie widziała przed sobą nic prócz wstydu i żalu.

I właśnie wtedy Obecność objawiła przed nią zupełnie inne przeznaczenie.

Helena nie miała pojęcia, jak długo siedzieli tak we troje, związani czymś o wiele silniejszym niż słowa. Minutę, godzinę? Czas nie miał żadnego znaczenia. Duch Święty tchnął na nich i wszyscy znaleźli się poza czasem. I usłyszeli niemy Głos.

We wspólnocie.

Wreszcie Makariusz upadł na kolana i wypowiedział słowa, które odbijały się echem w całym jej życiu:

– Pójdźmy do Pana w modlitwie.

Helena maszerowała w kierunku Jerozolimy. Drogi wiodące w głąb lądu nie były często użytkowane, ponieważ Jerozolima pozostawała najbardziej wyniszczonym miastem. Cały rzymski ruch skupiał się na trasie od Cezarei, przez Samarię, wokół Jeziora Galilejskiego, a potem na północ i wschód. Nieco później Antoniusz i Makariusz podeszli do Heleny.

– Zastanawialiśmy się, czy może to dobry czas, by porozmawiać o tym, co nas czeka – zaczął Antoniusz.

– Z radością przyjmę wasze towarzystwo.

Antoniusz machnął ręką na Fawiana. Oficer zsunął się z wierzchowca, podał lejce strażnikowi i dołączył do nich.

– Makariusz nie był w Jerozolimie od dekady, odkąd Sewerus zamordował jego rodzinę i zniszczył kościół – wyjaśnił Antoniusz. – Fawian zaś był w mieście dwukrotnie od tego czasu.

– I jakie wrażenia? – spytała Helena.

– To bardzo wzruszające: przechadzać się tymi samymi ulicami co nasz Zbawiciel – odpowiedział Fawian. – Ale także bardzo smutne.

– Jakże to?

– Podczas tak zwanej wojny żydowskiej Rzymianie obrócili większość miasta w gruzy. Jedynie wschodnia część, z dala od Wzgórza Świątynnego, pozostała zamieszkała, i to wyłącznie przez Rzymian. Miasto przemianowano na Aelia Capitolina. Mieszka w nim około dwóch tysięcy Rzymian. Żydzi przebywają na wygnaniu. Hadrian wzniósł świątynię Wenus, moja pani. A na Wzgórzu Świątynnym postawił kolejną, na cześć Saturna.

Makariusz włączył się do rozmowy:

– Nie wiem nic na temat wcześniejszego wyglądu miasta. Mogę polegać jedynie na podaniach i relacjach z drugiej ręki. Większość mieszkających tam Rzymian nie zajmuje się zbytnio przeszłością.

– Moja pani, cokolwiek zamierzasz osiągnąć, kiedy tam dotrzemy, będziemy potrzebowali pomocy osób postronnych – dodał Antoniusz. – Fawian ma pewien pomysł.

Fawian wskazał za siebie, na punkt, w którym droga do Jerozolimy oddzielała się od głównego szlaku z północy na południe.

– Judejscy uczeni osiedlili się w Bene Berak. Ta wioska leży pół dnia jazdy stąd na południe. Nauczyciel imieniem Akiba ben Józef założył tam szkołę. Powiadają, że to przyszłość judaizmu.

– Byłeś tam?

– Raz. Kiedy po raz pierwszy przybyłem do Judei, służyłem jako cesarski posłaniec. Kazano mi dostarczyć list. Rabini mnie nie przyjęli. – Nachmurzył się na

to wspomnienie. – Byłem zmuszony zostawić pergamin na ziemi. Nie chcieli go dotknąć dopóty, dopóki nie odjechałem. Powiedzieli, że pertraktowanie ze mną sprowadziłoby na nich nieczystość.

Przyjrzała się obu oficerom. Byli bardzo przystojni, a jednocześnie zupełnie inni. Antoniusz był żołnierzem w typie jej syna, silnym, milczącym i twardym. Sprawiał wrażenie mocnego niczym stare drzewo, głęboko zakorzenione w ziemi. Fawian był gibki i zręczny. Miał brązowe oczy i o odcień ciemniejsze włosy. Z całą pewnością posiadał niezwykle ujmujący uśmiech, którego ona nigdy jednak nie widziała. Jego spojrzenie odzwierciedlało głębokie zranienie.

– Antoniuszu, czy masz przy sobie złoto? – spytała Helena.

W odpowiedzi podał jej miękka sakiewkę. Helena wyjęła dwie monety i wręczyła je Fawianowi.

– Dasz je Judejczykom. Powiesz im, że idziemy do Jerozolimy. Jeśli zgodzą się do nas dołączyć, damy im więcej złota i zapewnimy możliwość powrotu do miasta.

Zwiadowca gapił się na pieniądze.

– Dla grupki zubożałych uczonych to okup godny króla.

– Raczej nie przyjdą dla złota – odparła Helena. – Ale mam nadzieję, że zgodzą się ze względu na miasto.

Fawian wsunął monety do kieszeni i ruszył w drogę. Chwycił lejce, po czym się zawahał.

Helena wiedziała, o co miał zamiar spytać, i zdawała sobie sprawę z tego, że nie sposób będzie udzielić mu wyczerpującej odpowiedzi.

– Mów, Fawianie – powiedziała.

– Jakie to było uczucie, moja pani? Kiedy Bóg do ciebie mówił?

Przyjrzała się mężczyźnie i w tej jednej ulotnej chwili porozumienia dostrzegła, ile przecierpiał. Widziała udrękę, z którą wiązało się jego wyznanie wiary. Wypowiedziane przez niego kłamstwa, poczucie beznadziei, jakiego zaznał. A jednak nawet teraz w jego mrocznym spojrzeniu tliła się iskierka nadziei. Helena wiedziała, z całkowitą pewnością czerpaną z mądrości otrzymanej z nieba, że jeśli ma jej się udać, będzie musiała odsłonić swą duszę. I obdarować go łaską uczestnictwa w tej wyprawie.

– Na tej dobrej ziemi tylko jednego doświadczyłam równie silnie: narodzin mojego syna. W porównaniu z tym wszystko inne blednie. To jak spojrzenie za zasłonę, w serce Tego, któremu służymy.

Skinął głową jak oficer swojej cesarzowej.

– Dziękuję ci, moja pani.

– Niech cię Bóg strzeże, Fawianie.

Wskoczył na siodło i zawrócił jeszcze konia.

– Co mam im powiedzieć, jeśli pytają, dlaczego tak bardzo chcemy, by do

nas dołączyli?

– Powiedz im prawdę – odparła Helena. – Powiedz, że mogą okazać się odpowiednią na modlitwę, której jeszcze nie wypowiedziałam.

Kiedy zatrzymali się o zachodzie słońca, Helena przeszła wzdłuż długiego szeregu wozów, zamieniając słowo z każdym chorym i starszym człowiekiem. Przynosiła im wodę, doglądała pożywienia i pocieszała zboliałych.

Po wieczornym nabożeństwie podeszła do Makariusza i poprosiła go o rozmowę. Usiedli przy ognisku. Makariusz wypił trochę wody i przemówił:

– Fawian przyszedł do mnie przed świtem. Powiedział, że cierpi z powodu wspomnienia, które prześladowuje go w związku z siłami nieprzyjaciela. Spytałem, czy mogę podzielić się nim z tobą i Antoniuszem. Powiedziałem mu, że oboje wiecie, co to znaczy doświadczać przeszłości.

Helena obserwowała, jak iskry unoszą się w powietrzu, by złączyć się z odległymi gwiazdami.

– Rozumiem to aż za dobrze.

– Opowiedział mi o dniu, w którym pergamin z edyktem zawisł na skale przy celach w kopalni. Cesarz rozkazał, by każdy nowy chrześcijański więzień został okaleczony na całe życie. Strażnikom kazano decydować, czy wyłupią więźniowi oko, podetną mu ścięgno przy kostce, oznaczą udo piętnem czy odetną rękę. Każdy żołnierz, który odmówiłby wykonania rozkazu, miał zostać ubiczowany na śmierć. On, cała jego rodzina – aż do najmłodszego dziecka.

Helena odwróciła się i spojrzała na byłych strażników ściśniętych przy sąsiednim ognisku. Kilku innych chodziło od wozu do wozu i proponowało rannym coś do jedzenia lub picia.

– Biedacy...

– Fawian powiedział mi, że on sam poczuł ulgę. Był zwiadowcą, dlatego uniknął dokonywania tych upiornych czynów. Ale teraz czuje się równie winny jak ci, którzy dzierżyli noże, topory i rozżarzone żelazo. Wie, że doświadczyłem tego losu. Przyszedł prosić mnie o wybaczenie.

– Którego mu udzieliłeś. Taką mam nadzieję i o to się modłę – odpowiedziała Helena.

– Oczywiście, że tak. Nie o to jednak chodzi. Po wszystkim trzymałem go w ramionach, bo płakał niczym zrozpaczone dziecko. Ale i nie do tego zmierzam. – Makariusz nachylił się ku niej. – Kiedy skończyliśmy rozmawiać, zauważyliśmy, że Antoniusz czekał, by z nami pomówić. Opowiedział Fawianowi o twojej wizji. Mówił, że niepokoimy się, jak dotrzeć do miejsc z czasów króla Heroda. Czy pojmujesz?

– Nie, nie bardzo...

– Przez Antoniusza i przez ciebie Bóg przekazuje Fawianowi wiadomość. Mówi, że ten młody człowiek dostąpił przebaczenia i najwyższa pora, by zobaczyć coś więcej. Uznać, że mamy tu do czynienia ze świętym celem, a Fawian został za-

proszony do udziału w nim. – Makariusz się wyprostował. – Przemówiłaś, ponieważ nadszedł czas. Czyniąc to, dałaś temu młodzieńcowi najcenniejszy z Bożych darów: powód do życia.

Wędrówka do podnóży jerozolimskich wzgórz zajęła im trzy dni. Powinni przebyć ten odcinek o wiele szybciej, ale byli więźniowie nie mogli iść prędzej. Helena nalegała, by utrzymać tempo, któremu będą w stanie sprostać. Ton jej głosu wskazywał jasno, że nie ma zamiaru się spieszyć, nawet kiedy na horyzoncie dostrzegli wielką chmurę kurzu. Zdaniem żołnierzy, oznaczała ona, że Sewerus zebrał liczniejsze zastępy zbrojnych i przygotowywał się do ataku.

Z każdym świtem witali nowo przybyłych. Ewander i inni zwiadowcy wyruszali codziennie, by głosić w okolicznych wioskach wieść o edykcie Konstantyna. W efekcie dołączało do nich coraz więcej ludzi. Każdego wieczoru nowi płakali, kiedy podczas nabożeństwa odbierali kielich z rąk Heleny.

O świcie czwartego dnia rozpoczęła się wspinaczka. Helenę bolały nogi i stopy, ale już się do tego przyzwyczaiła. To przez ból serca spowodowany niesionym w duszy ciężarem ledwie była w stanie iść obok jadącego na ośle Makariusza. Rankiem pożegnali jeszcze dwie dusze. Dwaj byli więźniowie odeszli spokojnie w nocy. Proste nabożeństwo przy drodze okazało się bardzo przejmujące. Serce Heleny jeszcze bardziej wypełniły wątpliwości związane z wciąż powiększającą się grupą ludzi, którzy się wokół niej gromadzili.

– Nie jestem Mojżeszem – poskarżyła się kapłanowi.
– Z całą pewnością nie.
– Nie nakazano mi wyprowadzić zgnębnego ludu z Egiptu.
– Masz rację. – Makariusz zmrużył oczy i wpatrywał się w dal.
– Już dotarłam do Ziemi Obiecanej, podobnie jak i oni.
– Tak jest w istocie.
– Zostałam powołana, aby iść do Jerozolimy. Miałam pokonać tę drogę sama.

– A teraz?

– Bóg nie powiedział... – urwała. – Czy ty w ogóle mnie słuchasz?

Makariusz patrzył teraz za siebie, na równiny.

– Ktoś idzie.

– Oczywiście, że idą. W tym szkopuł. Zawsze przychodzą.

– Nie. To ktoś inny. Jestem prawie pewien...

Nim zdążyła poprosić, by dokończył zdanie, podbiegł do nich Antoniusz.

– Żołnierze.

Biskup dalej mrużył oczy.

– Tak myślałem.

– Mnóstwo żołnierzy.

Teraz zatrzymała się cała grupa. Helena przytrzymała osła, by Makariusz nie spadł.

– Widzę tylko kurz.

– Co jakiś czas widać... O, tam! Widzisz?

– Tak. – Też to zobaczyła. W słońcu coś lśniło i było tego sporo. Punkciki światła tańczyły w oddali. Zmierzający w ich kierunku las włócznie?

– Co teraz zrobimy?

Nikt nie odpowiedział. Helena czuła, że opanowuje ją lęk. Musiała się zmusić, by w jej głosie zabrzmiał spokój.

– Odpowiedzcie mi.

– Nie sądzę, żeby to byli wrogowie – stwierdził Antoniusz. Gdzieś w oddali jeden ze strażników podniósł alarm. Nie spuszczać oka z horyzontu, Antoniusz ryknął:

– Wycofać się!

Powietrze poruszało się w zwodniczym tańcu. Legioniści wrócili na drogę, by stanąć obok nich. Helena zmrużyła oczy.

– Powiedz mi, jak mam to rozumieć?

– Jeźdźcy pilnują idących z obu stron – odparł Antoniusz.

– A cóż to dokładnie oznacza?

– Gdyby wchodzili na pole bitwy, niektórzy z jeźdźców zajęliby pozycje z przodu – wyjaśnił. – Zwiadowcy podjechaliby galopem, by sprawdzić nasze ustawienie.

– Może nie czują takiej potrzeby – stwierdził jeden z pozostałych żołnierzy, wyraźnie nieskory do nadziei. – Jest nas za mało, by zawracali sobie tym głowę.

– Wielu dowódców nie żyje tylko dlatego, że źle ocenili siły przeciwnika – odparł Antoniusz. Wskazał na zbliżającą się horde. – Spójrz na ich ręce.

Na drodze zgromadziło się już wielu żołnierzy.

– Nie mają mieczy! – krzyknął ktoś.

– A tarcze trzymają przy bokach – dodał Antoniusz.

Za nim rozległ się gromki śmiech Makariusza.

– Zwiadowca! – wrzasnął Antoniusz.

– Jestem, panie!

Mężczyzna ten wydał się Helenie niezwykle młody. Nosił się z taką samą lekkością jak Fawian. Antoniusz wskazał na przybyłych.

– Jedź do nich. Jeśli są chrześcijanami, powitamy ich.

– Rozkaz, panie!

– Nie narażaj się w imię czegoś, co równie dobrze może okazać się tego nie-warte – ostrzegł go jeszcze Antoniusz.

Młody zwiadowca ścisnął pasek przy ozdobionym piórami hełmie, który od-

bijał światło słoneczne.

– To pierwszy raz, kiedy przełożony wyraził troskę o mnie – stwierdził cicho.

Antoniusz popędził go.

– Idź i powitaj ich w imię Boże.

Makariusz obserwował, jak zwiadowca pędzi konno przez poźólkłą równinę.

– Pisma zawierają historie bitew, których wcale nie stoczyli ludzie – uczyniła to jedynie ręka Boga. Jak nazwałbyś męża, który służy Panu poprzez unikanie sporów?

Antoniusz nie odpowiedział. Patrzył na oddalającego się zwiadowcę. Makariusz ciągnął:

– Ja nazwałbym takiego człowieka bohaterem. Bohaterem dla naszego Boga.

Legion Antoniusza stopniowo nabierał kształtu.

Cztery setki żołnierzy, pięć setek, sześć... Helena już nie liczyła. Niektórzy przybyli z wozami wypełnionymi żywnością, inni niemal zagłodzeni.

Wszyscy przynosili wieści o armii zza horyzontu.

Nowo przybyli raportowali, że namiestnik Cezarei posłał edykt Konstantyna do Damaszku. W odpowiedzi Maksymin kazał Sewerusowi zebrać armię i zmieść całe wojsko Heleny z powierzchni ziemi. Żołnierze opowiadali, że wiadomość rozeszła się wśród wojsk niczym pożoga. Wszyscy usłyszeli, że matka Konstantyna jest krzewicielką słowa o początku nowej ery, w której chrześcijanie nie będą już ścigani i zabijani. Ery, w której wiara w Jezusa nie będzie zbrodnią.

Helena słuchała ich, przywołując w pamięci słowa z wizji, i drżała z nabożnej czci.

Antoniusz przekazał żywność żołnierzom i byłym więźniom. W każdej wiosce, w której uchowały się przy życiu wspólnoty chrześcijańskie, zostawiano pieniądze. Żołnierzy Antoniusza wszędzie ostrzegano przed wielką armią zgromadzoną za horyzontem.

Przychodziło do nich coraz więcej ludzi.

Stara droga wiała się wśród wzgórz koloru ochry, wyrzeźbionych na kształt dzieł sztuki przez wieki pustynnych burz. Tempo nadal narzucali najwolniejsi z byłych więźniów. Na każdym zakręcie Helena odwracała się i spoglądała za siebie, podobnie jak większość jej towarzyszy. Grupa urosła do ogromnych rozmiarów. I wciąż przychodzili następni. Helena patrzyła, jak całe rodziny pokonywały kozie szlaki, które wiodły przez wysuszone wzgorza. Ludzie byli świadomi niebezpieczeństwa, ale i tak do nich dołączali. Wielu żołnierzy zaczęło uważać, że ich powiększające się szeregi powstrzymają wroga.

Co jakiś czas widywała pojedynczych jeźdźców, którzy przyglądali się im ze wznieśnienia. Nowo przybyli relacjonowali, że władca w Damaszku ustalił już cenę za ich głowy. Tysiąc aureusów za Helenę, pięćdziesiąt za każdego z oficerów, którzy zdezerterowali z armii cesarskiej. Tak właśnie ich postrzegano: jako dezertorów.

Drugiego dnia po wejściu na wyżyny rozbili obóz. W oddali wznosiło się rzymskie koloseum wybudowane przy granicy Jerozolimy. Mogliby dotrzeć do miasta przed zachodem słońca, ale po południu zmarła jedna z kobiet. Helena trzymała ją za rękę do ostatniej chwili. Antoniusz przez cały ten czas stał u jej boku.

Po śmierci kobiety stali i patrzyli, jak grupa więźniów i żołnierzy kopie grób. Podeszedł do nich Makariusz.

– Wieści o twoich działaniach krążą z ust do ust na tej krętej drodze.

Helenie trudno było się skupić na czymkolwiek poza dzisiejszą stratą. Nie znała nawet imienia tej kobiety, a jednak silnie odczuwała jej nieobecność.

– Wybacz, ale o co chodzi?

Kapłan wskazał dłonią na zmęczonych ludzi, którzy schodzili z drogi, by odpocząć w wąskiej dolinie ze źródłem pośrodku.

– Nikt nie rozmawia tu o niczym innym. Tylko o cesarzowej i nowo mianowanym trybunie czuwających przy łożu śmierci prostej kobiety.

Po długich godzinach marszu Antoniusz miał zmęczoną twarz.

– Nie mogliśmy jej ocalić.

– Nie. Odpoczywa w objęciach Pana. – Makariusz złapał żołnierza za ramię i odwrócił go do siebie.

– Spójrz tam, w dół. Powiedz mi, co widzisz.

Antoniusz chrapliwym głosem wyraził niewypowiedziane obawy Heleny:

– Niezliczone zastępy ludzi, których nie jesteśmy w stanie chronić.

– Nie, mój drogi przyjacielu. Wybacz, ale się mylisz. Widzisz rosnące szeregi wierzących, sprowadzonych tu potęgą naszej wiary.

– Równie dobrze mógłbym prowadzić ich na śmierć!

– A gdyby pozostali w ukryciu? Czy to zapewniłoby im większe szanse? Rozważ moje słowa. Dziś byli świadkami cudu. Ta prosta kobieta została otoczona czułą troską do ostatniego tchnienia. Wszyscy ją teraz oplakują, a jednak jest w tym tyle radości. Tak, radości!

– Ja wcale jej nie czuję – odparł Antoniusz.

– A powinieneś. Dlaczego? Ponieważ ty i Helena stanowicie żywe znaki wiary, które łączą nas wszystkich.

Helena, stojąca nadal nad grobem z ciałem okrytym całunem, patrzyła na dolinę. Ostatni wóz wolno wjeżdżał na teren obozowiska. Pastwisko było zatłoczone. Helena zdała sobie sprawę z tego, że wszystkich tych ludzi łączy jedno.

Wszyscy trwają w oczekiwaniu.

– Dlaczego mi to mówisz? – spytał Antoniusz.

– Ponieważ musisz się do nich zwrócić.

– Ja?! – Antoniusz cofnął się o krok. – Nigdy nie przemawiałem do nikogo prócz żołnierzy.

– Oni potrzebują twoich słów – nalegał Makariusz. – Zarówno żołnierze, jak i mieszkańcy wiosek oraz byli więźniowie. Słów dowódcy, który bierze udział w pielgrzymce u boku pani. Który porzucił swoją piękną zbroję i nosi szare odzienie. Który się o nich troszczy. Który ich prowadzi.

– To Helena nami kieruje.

– A ty jesteś jej najlepszym żołnierzem. Przyszedł czas, Antoniuszu. Pan cię wzywa. Stań przed tymi ludźmi i powiedz im, dlaczego.

– Kapłan ma rację – rzekła cicho Helena.

Makariusz nie czekał na odpowiedź Antoniusza. Odwrócił się i zawołał głosem nazbyt donośnym jak na jego zasuszoną postać:

– Zgromadźmy się!

Antoniusz dołączył do niego na skalnym występie, który wystawał nad grobem na jakieś dwie wysokości człowieka. Kapłan wykonał obiema dłońmi ruch, jakby kogoś obejmował.

– Proszę wszystkich, by podeszli bliżej. – Po chwili dodał: – Jeszcze bliżej.

Wycofał się pospiesznie. Antoniusz patrzył na morze zwróconych ku niemu twarzy.

Zwlekał przez dłuższą chwilę, po czym oświadczył:

– Chcę żyć!

Makariusz spojrzał na Helenę. Wydawało jej się, że dostrzega na jego twarzy uśmiech.

– Przez wiele miesięcy pragnąłem umrzeć – wyznał Antoniusz zgromadzonym. – Straciłem żonę i syna. Własnymi rękami wykopałem im groby i wraz z ciałami najbliższych złożyłem w ziemi swoje serce. Przybyłem tu w poszukiwaniu miejsca, w którym mógłbym oddać ostatnie tchnienie i dołączyć do mojej rodziny na tamtym świecie.

Wiatr ucichł. Słońce właśnie zachodziło. Helena czuła, że po twarzy spływa jej pot. Z uwagą słuchała słów Antoniusza.

– To tutaj, na wzgórzach wokół Jerozolimy, nauczyłem się, że są rzeczy ważniejsze niż życie, które wiemy. Dano mi dostrzec coś więcej. Nie pojmuję z tego zbyt wiele. I nie muszę. Jestem żołnierzem. Wiem jedno: jak długo mam szansę na kolejny oddech, będę maszerował w służbie Jezusowi Chrystusowi.

Wyciągnął dłoń w stronę zgromadzonych.

– Obserwowałem, jak idziemy: rodzina za rodziną, żołnierz za żołnierzem. Poszukujemy pocieszenia u ludzi, których znamy i którzy znają nas. A dziś stałem i patrzyłem, jak wspólnie kopiecie grób. I właśnie o taką jedność chcę was prosić. Proszę, byśmy jutro nie przekroczyli bram Jerozolimy jako żołnierze, byli więźniowie, członkowie klanów czy mieszkańcy wioski. Jesteśmy tu, by wypełnić Bożą misję. Odniesiemy sukces, jeżeli będziemy działać razem. Proszę, aby każdy z was wybrał osobę, którą niegdyś uznawał za nieprzyjaciela. Zwróćcie się teraz do siebie nawzajem i pobłogosławcie w imię Jezusa Chrystusa.

Antoniusz odwrócił się do Makariusza i objął go. Helena wyraźnie widziała blizny w miejscu, w którym do oka kapłana przyłożono niegdyś rozżarzony pręt. I ona odwróciła się, by kogoś objąć. Nie była pewna, kogo, ponieważ obraz zamazały jej łzy.

Obozowicze byli gotowi do drogi na długo przed świtem. Na niebie wciąż tliły się gwiazdy, kiedy Makariusz odmówił modlitwę za zgromadzonych.

Na prośbę Heleny wozy z chorymi miały jechać na przedzie. Antoniusz i Makariusz towarzyszyli Helenie. Kapłan jechał na tym samym osle, który wioził go od Cezarei. Kiedy pokonywali pierwszy zakręt na drodze, Helena usłyszała, jak Makariusz mówi do Antoniusza:

– Mają dla ciebie nowe miano.

– Jakież to?

Kapłan wskazał dłonią na wijące się za nimi tłumy.

– Słyszałem, jak rozmawiali minionej nocy. Nazywają cię dowódcą pielgrzymki. Mężem w szarości. Pójdą za tobą wszędzie.

Urządzili sobie postój w gaju oliwnym. Helena uznała to miejsce za idealne. Wiekowy gaj zapewniał cień, a ziemię pokrywał koc ze srebrnych liści. Wiatr powiewał w sękatych gałęziach, szepcząc powitanie.

Przed nimi rozciągała się dolina. Nad nią było widać Jerozolimę. Miasto, nawet zniszczone, promieniowało ponadczasową chwałą. Kamienie lśniły w słońcu, jakby do zaprawy dodano jakiś niebiański minerał. Nie było bram, mur miejscami się osypał. Ale w zrujnowanej Jerozolimie trwał jej duch.

Powietrze wkrótce wypełniło się dymem z licznych ognisk. Gdy słońce rozpoczęło powolne zstępowanie, Helena odszukała Antoniusza i Makariusza.

– Czuję, że przyszła pora, abym podzieliła się informacjami o mojej misji ze wszystkimi.

– Cudownie – skwitował Makariusz. – Wielu oczywiście zna twoją historię, częściowo lub w całości. Ale nikt z tłumu nie słyszał jej z twoich ust.

– Czy moglibyście obaj stanąć u mego boku?

– Zawsze, moja pani – odpowiedział Antoniusz.

– To zaszczyt – dodał Makariusz.

Wspięli się na niewielki pagórek i zwrócili twarze w stronę gaju. Zebrani mogli spoglądać na rozświetlone miasto.

Było ich tak wielu! Gaj porastał równinę i zbrocza aż do trzech półek skalnych. Wszędzie znajdowali się ludzie.

– Pan przyszedł do mnie w wizji... – zaczęła Helena.

Jej słowa niosły się, wybrzmiewały z godnością. Dziś nie było miejsca na lęk przed tłumami. W swoim głosie słyszała tylko przekonanie.

– Bóg przyszedł do mnie w mrocznym czasie, kiedy byłam ślepa na wschodzące słońce. Mąż mnie oddalił, by móc zadawać się z młodymi służkami. Mój jedyny syn walczył o życie w odległej krainie. Niewielu wierzyło, że przeżyje, ponieważ stawiał czoła wojskom o wiele silniejszym od jego armii. Modliłam się aż do

skrajnego wyczerpania. Zasnęłam. Nazajutrz o świcie przyszedł do mnie Bóg.

Więźniowie i byli strażnicy stali obok siebie w milczeniu. Helena ciągnęła:

– Powiedział, że mój syn przeżyje. Mało tego: zmieni bieg historii. Sprawi, że Rzym będzie cesarstwem chrześcijańskim. A ja pójdę do Jerozolimy, co będzie stanowić część tego świętego przedsięwzięcia. Miałam pójść i odzyskać symbol ofiary naszego Pana.

W gaju dał się słyszeć lekki pomruk, łagodny jak wiatr między srebrnymi liśćmi. Helena zaczęła, aż ucichnie.

– Gdy moje święte spotkanie dobiegło końca, modliłam się o znak świadczący o tym, że wizja była prawdziwa. Modliłam się i pościłam, aż przyszła wieść o zwycięstwie mego syna w starciu przy moście Mulwijskim. Wraz z nią otrzymałam list od Konstantyna. Opisał w nim wizję, której doznał w dniu bitwy. Jezus przemówił do niego, że oto naznaczy dzień wielkiego zwycięstwa. Mój syn otrzymał znak Bożej opatrności. Ujrzał na niebie symbol: dwie greckie litery oznaczające imię Chrystusa, połączone w jedno, na kształt krzyża. Usłyszał też głos, który nakazał mu umieścić ten znak na piersi.

Spoglądała na nich przez dłuższą chwilę, po czym zakończyła:

– Ten znak ukazał mu się tego samego dnia, w którym i ja doświadczyłam wizji.

Nazajutrz obudził ich odgłos bębnow.

Do czasu, gdy Helena wyszła z namiotu, wszyscy żołnierze byli już na nogach. Helena rozumiała, dlaczego. Dźwięk był jednoznaczny. Zwiastował to samo w całym imperium – stanowił wezwanie do walki. Jej syn wyznał kiedyś, że często słyszał go w snach. Zrywał się wtedy zlany potem, z uczuciem lęku przed nadchodzącą bitwą.

Helena stanęła na występie skalnym i spojrzała na dolinę. Przy zniszczonych murach miasta przeżyli się żołnierze w zbrojach. Ich włócznie były zakończone flagami, które łopotały z przekorną wesołością na porannym wietrze.

Pośrodku stał wysoki żołnierz. Jego złoty napierśnik lśnił niczym drugie słońce...

– Ulokowali wszystkie siły po tej stronie miasta – stwierdził Antoniusz. – Albo spodziewają się napaści od frontu, albo sami chcą ją przeprowadzić.

Helena zamknęła oczy i zaczęła się modlić. Trudno było się odciąć od narastającej wrzawy. Wiedziała jednak, że już nie chodzi o ludzkie zamiary. Nawet teraz, w obliczu przygotowań do bitwy, szukała prowadzenia. Wszystkie spojrzenia były skierowane na nią. Podniosła głowę i oświadczyła:

– Nie będziemy walczyć.

Antoniusz zawahał się, po czym pokiwał głową.

– Co zatem zrobimy, jeśli zaatakują? – spytał Ewander.
– Będziemy się modlić – odparł Antoniusz. – I czekać, aż Bóg wskaże nam drogę.

Przez resztę tego długiego dnia Helena nie wróciła na pagórek i nie patrzyła na dolinę. Za radą kapłana ona i Antoniusz postanowili wspólnie pościć. Siedzieli w gaju przy namiocie Heleny. Oddawali się modlitwie.

Dzień przeminął. Słońce przeszło od jednego horyzontu do drugiego. Post zawsze sprawiał Helenie pewne trudności. Tego dnia jednak odnalazła w nim nawet przyjemność. Nie traciła czasu – po prostu nabrał on innego rytmu. Jakby rezygnowali nie tylko z jedzenia, lecz także z codziennego życia. Siedzieli, ponieważ nie musieli zajmować się niczym prócz czekania na Boga.

O zachodzie słońca ucichł wiatr. Gdy zgromadzili się na wieczornym nabożeństwie, cały obóz wydawał się ukojony spokojem, który wypełniał duszę Heleny. Było tak cicho, że słyszała srogie rozkazy i szcęk metalu zza doliny.

Podczas nabożeństwa Makariusz nie przemówił ani razu. Uniósł kielich i chleb, zamknął oczy. Gdy msza dobiegła końca, wszyscy obserwowali, jak ta trójka wraca pod sękatę drzewo rosnące przed namiotem Heleny. Panowała całkowita cisza. Nie było słyhać ani dziecka, ani psa, ani ptaka. Świat wstrzymał oddech. Robiło się coraz zimniej, pojawiła się mgła.

Gdy Helena obudziła się o świcie, mgła była już tak gęsta, że ludzie nie widzieli dłoni przed swoimi twarzami. Bębny zza doliny ucichły. Nagle Helena usłyszała głos. Natychmiast go rozpoznała. Należał do młodego zwiadowcy, który stracił wszelki optymizm – albo tak jej się tylko wydawało – kiedy odjeżdżał w kierunku pożółkłego pustkowia.

– Jak można cokolwiek widzieć w tej zupie? Przez całe dorosłe życie służyłem jako zwiadowca, a nie mogę nawet znaleźć własnych stóp!

Helena zerwała się na równe nogi i zawołała:

– Fawianie, czy to ty?

– Tak jest, moja pani!

– Kratosie, czy wiesz, gdzie jest zwiadowca?

– Tak. Tuż przede mną.

Dwaj żołnierze wyłonili się z mgły. Kratos trzymał konia Fawiana za lejce.

– Choć dziwi mnie, jak może zwać się zwiadowcą, skoro nie może nawet znaleźć własnej cesarzowej – dodał z uśmiechem.

Antoniusz stanął u boku Heleny i spytał:

– Gdzie, u licha, byłeś?

– Czyniłem to, co nakazała mi pani. I rad jestem, że nie wiedziałem, jak będzie mi trudno. – Fawian zsiadł z konia z gracją mężczyzny stworzonego do tańca. Uklęknął na ziemi. – Pozdrawiam cię, pani.

– Wstań, Fawianie. – Helena zdała sobie sprawę z tego, że od uśmiechu nie

powstrzymał jej nawet zimny świt. – Modliliśmy się o cud. Czy przybyłeś jako święty posłaniec Boga?

– W moim krótkim życiu różnorako mnie nazywano, pani. Ale nigdy w ten sposób. – Rysy miał napięte ze zmęczenia i na jego twarzy wciąż czaiły się cienie, ale jakimś sposobem znalazł siły, by leciutko się uśmiechnąć. – Podoba mi się jednak brzmienie tego tytułu.

Helena pozwoliła sobie żywić nadzieję, że istotnie rozpoczął się proces prawdziwego uzdrowienia.

– Przynosisz dobre wieści. Widzę to po twojej twarzy.

– Przyprowaździłem mojej pani siedmiu rabinów z Bene Berak. Inna sprawa, czy na coś się przydadzą.

– Co opóźniło twój powrót? – dociekał Antoniusz.

– Tą maleńką wioską rządzi rada rabinów. Jej członkowie przez cały dzień przesiadują pod wielkim drzewem i dyskutują. Przestają tylko na chwilę, by się pomodlić i coś zjeść, a potem spierają się dalej. Trzy dni i trzy noce kłócili się, zanim zdecydowali, że pošlą kilku spośród siebie, by z tobą pomówili.

– Gdzież oni są teraz? – spytała Helena.

Fawian machnął ręką w lewą stronę.

– Po drugiej stronie drogi, pani. Twierdzą, że wejście do obozowiska spowodzi na nich nieczystość.

– Makariuszu!

– Tak, pani?

– Idź i powitaj ich w naszym imieniu. Zaopiekuj się nimi. Spytaj, czy wolno mi z nimi pomówić.

– Jak sobie życzysz, pani. – Ale gdy Antoniusz ruszył za kapłanem, ten go powstrzymał. – W tym wypadku lepiej, by za eskortę posłużył mi były więzień.

Gdy czekali na powrót Makariusza, Fawian jadł posiłek i relacjonował spotkanie z rabinami. Helena słuchała opowieści o tym, jak nie pozwolili mu wejść na swój teren, zmusili go, by nocował na ziemi za ogrodzeniem, nie zaproponowali mu nic do jedzenia ani picia, kazali mu zostawić złoto na ziemi i odejść. Czekał dzień i noc. A potem większość kolejnego dnia. W tym czasie rabini stale się kłócili. Helena czuła, że w słowach Fawiana pobrzmiwa dusza powracająca do życia.

Mgła nie tyle się przeredzała, ile niechętnie unosiła, aż obóz okrył się jakby posępnym kocem. Kiedy Fawian skończył jeść, Helena i Antoniusz zaprowadzili go na występ skalny. Spoglądał na szereg włóczni wzdłuż jerozolimskich murów.

– Czy on tam jest?

– Sewerus? – Antoniusz aż się wzdrygnął. – Nie przyszedł i nie przedstawił się nam. Ale mignął mi jego złoty napierśnik.

Dołączył do nich Ewander.

– Jeden z żołnierzy powiedział mi, że Sewerus poprowadzi tylu mężczyzn, ilu był w stanie posłać mu namiestnik. Prawie pół legionu – oznajmił.

– Też tak słyszałem – potwierdził Antoniusz. – Ma przy sobie dokument, który poświadcza jego zwierzchnictwo nad jerozolimskimi wojskami.

– Cóż, dobrze, że nowi wzmocnili nasze szeregi – stwierdził Fawian. – Jakie przygotowania poczyniliście?

Antoniusz nadal spoglądał na dolinę.

– Pościmy.

Zwiadowca nie mógł uwierzyć własnym uszom.

– Ależ oni mogli już posłać wojska, by nas otoczyć!

– A widziałeś kogoś?

– Nie, ale w tej mgle mógłbym ich mieć na wyciągnięcie ręki i tego nie zauważyć. Na pewno wysłaliście jeźdźców, by rozejrzeli się na drodze.

– Od momentu przybycia do gaju oliwnego nie wyprawiliśmy żadnych zwiadowców.

– Ja poszczę – stwierdziła Helena. – I stale się modłę.

Fawian patrzył na nich zdumionym wzrokiem. Helena spodziewała się jego protestów. Kratos dodał:

– A ja poszczę wraz z panią.

– I ja – rzekł Ewander. – I wielu innych.

– Chyba połowa obozu – stwierdził Antoniusz.

– Więcej – odparł Kratos. – O wiele więcej.

– Nigdy nie byłem zwolennikiem postów. Trzymam się żołnierskich przykazań. Jem, kiedy jest co, śpię, kiedy mogę, walczę, kiedy muszę. I zawsze mam oczy dookoła głowy – odparł Fawian.

– Nastaly nietypowe czasy – powiedział Antoniusz. – Przemodliłem to. Czuję spokój w związku z naszymi działaniami.

– Zawierzylimy Bogu – zgodził się z nim Ewander.

Fawian zrobił kwaśną minę.

– Czy i ja mam z wami pościć?

Helena zwalczyła w sobie nagłą potrzebę uściśnięcia ich wszystkich.

– Masz robić to, czego chce Bóg. Ani mniej, ani więcej.

Makariusz przysłał wiadomość, że Helena może już przybyć do rabinów. Poprosiła, by towarzyszył jej Antoniusz. Poszli na południowy skraj gaju oliwnego, gdzie rabini rozbili swój miniaturowy obóz. Nosili ciemne szaty i brody, byli drobni i podejrzliwi. Najmłodszy miał trzydzieści parę lat, a najstarszy był równie sękaty i pochylony jak rosnące dokoła drzewa oliwne. Głos miał jednak bardzo silny. Gdy ujrzał Antoniusza, zawołał:

– Możecie zabrać mu rzymską broń, a i tak pozostanie zabójcą Żydów!

– To mój przyjaciel i obrońca – powiedziała Helena.

– Bezczęścicielu świętych miejsc! Morderco niewinnych! Trzymaj się od nas z daleka!

Helenie nie spodobało się to, ale odrzekła:

– Jak sobie życzycie. Czy mogę podejść?

Mężczyzna zmrużył oczy z wściekłością. Dwóch innych szemrało pod nosami. Starzec uciszył ich gestem i spytał Makariusza:

– To ta, o której mówiłeś? Cesarzowa, która porzuciła koronę?

– Niczego nie porzuciłam – poprawiła go. – Odebrano mi ją. Uczynił to mój mąż, który wolał, by przysięgi małżeńskie wypełniały dla niego młode dziewczki.

Starzec przygryzł krawędź brody.

– Zawsze jesteś równie szczerą?

– Staram się, a Bóg moim sędzią.

– Czego od nas chcesz?

– Tylko jednego. Czy mogę wejść do waszego obozu? – Gdy trzech rabinów zaczęło szemrać i potrząsać czarnymi rękawami, Helena przysiadła na sękatym korzeniu drzewa.

– Szukam ścieżki, którą Jezus Chrystus szedł na śmierć.

Zorientowawszy się, że Helena nie zamierza się krępować, rabini ucichli. Najstarszy powiedział:

– Mów dalej.

– W noc, w którą mieli Go pojmać, Jezus zajął z uczniami miejsce u stołu, by spożyć ostatnią wieczerzę. Następnie zabrano Go do pałacu arcykapłana, potem do Heroda i wreszcie do samego Poncjusza Piłata. Tam został ubiczowany. Kazano

mu nieść krzyż z rezydencji Piłata na wzgórze zwane Golgotą. Tam Go ukrzyżowano. Chcę podążyć Jego drogą. Ale Jerozolima w większości legła w gruzach. Miasto otaczają góry, pagórki i doliny. Nie mam pojęcia, które wzgórze zwie się Golgotą ani którą ścieżką kazano kroczyć Nauczycielowi. Proszę was, byście mi towarzyszyli.

– To dlatego podróżowałaś do Jerozolimy? – Starzec wydawał się szczerze zakłopotany. – By pójść drogą śmierci Jezusa? Którą sprowadziliście na niego wy, Rzymianie?

– Owszem. – Helena czuła głęboki spokój w obliczu tej wrogości. Nie miała potrzeby wskazywania roli, jaką Żydzi odegrali w śmierci Jezusa. – W zamian oferuję wam pozwolenie na powrót do waszego miasta.

– To już nie jest nasze miasto! – wykrzyknął stary rabin. – Ukradliście je! Ukradliście! Ograbiliście nas nawet z jego imienia! Aelia Capitolina, tak przecież je zwiecie!

– To była Jerozolima i będzie nią ponownie.

Starzec stał oparty o laskę. Obiema dłońmi głaskał jej wyświeconą powierzchnię.

– Dlaczego niby miałbym w to wierzyć? Sama powiedziałaś, że nie masz władzy.

– Mój syn mógłby zostać cesarzem, choć ma przeciw sobie wielu ludzi. Powierzono mi władzę wydawania edyktów w jego imieniu.

Antoniusz patrzył, jak starzec odwraca się i patrzy na miasto. Pozostali rabini uczynili podobnie. Ich twarze sposępniały, malowała się na nich tęsknota.

Gdy najstarszy ponownie się do nich zwrócił, oczy płonęły mu zapałem.

– Tacy jak wy wybudowali ohydztwa w naszym najświętszym miejscu. Zbezczęścili Wzgórze Świątynne!

Helena popatrzyła w dół. Budowle widać było już dość wyraźnie. Za zniszczonymi murami widniał rozległy kamienny plac Wzgórza Świątynnego. Nawet tego pochmurnego dnia kamienie lśniły pozaziemskim blaskiem. Pośrodku stała świątynia poświęcona Saturnowi, jednemu z głównych rzymskich bóstw. Była otwarta z jednej strony i spowita dymem z brązowych palników umieszczonych przy ołtarzu ofiarnym.

Helena podniosła się z wolna.

– Dziękuję wam za przybycie i możliwość spotkania.

Starzec zmrużył oczy, jakby zastanawiał się, jak ją obrazić.

– Co zamierzasz zrobić?

– Macie wszelkie powody, by nie wierzyć w moje słowa – odparła Helena. – Chcę zdobyć wasze zaufanie.

Podczas gdy Helena i Makariusz wciąż byli w obozowisku rabinów, Antoniusz opuścił gaj i ruszył drogą w kierunku doliny. Ledwie minął ostatnie drzewo, usłyszał za sobą kroki.

- Dokąd idziesz? – spytał Fawian.
- Rozkazuję ci wracać do obozu.
- Wybacz. Mam ostatnio kłopoty ze słuchem. – Fawian szedł za nim krok w krok. – Jeśli chcesz znać moje zdanie, to niebezpieczne miejsce na samotny spacer. Kolejna para stóp starała się za nimi nadążyć.
- Dokąd idziemy? – spytał Ewander.
- Dowódca nie chce powiedzieć – odparł Fawian. – Chyba uznał, że to dobry dzień na przechadzkę.
- To dziwne, zwłaszcza że nie jadł od wczoraj.
- Cóż to, nadal pościsz?
- Helena wciąż modli się o prowadzenie. Ja idę za jej przykładem – odrzekł Antoniusz. – A wy dwaj jesteście bezczelni.
- Nie byłoby słusznie puścić cię na samotną wędrówkę – odparł Fawian.
- Zwłaszcza że twój umysł może być osłabiony z braku jedzenia – zgodził się Ewander.
- Z moją głową wszystko w porządku. Miałem nadzieję na chwilę samotności...

Antoniusz przestał mówić, ponieważ ścieżką schodzili do nich kolejni mężczyźni. Sami żołnierze. Kratos rzucił mu przekorne spojrzenie.

- Stary kapłan nakazał nam upewnić się, że nie chwyciłeś za włócznię. Fawian skinął nowo przybyłym, by zachować pozory porządku.
- Dobrze. Idź zatem na swój samotny spacer.

Antoniusz niechętnie zgodził się na taki rozwój sytuacji. Zeszli do doliny i ruszyli w kierunku wąwozu leżącego pod miastem. Żołnierze ustawieni wzdłuż zniszczonych murów z pewnością zagrodzą im przejście. Gdy Antoniusz spojrzął za siebie, zobaczył, że jego ludzie zgromadzili się przy skraju gaju oliwnego i obserwowali ich ruchy. Powstał impas. Wojska pilnujące miasta nie ośmieliły się jednak zaatakować.

Kiedy Antoniusz ruszał przed siebie, nie miał pojęcia, dokąd idzie. Chciał po prostu się przejść, podczas gdy Helena i Makariusz wciąż byli zajęci rozmową z rabinami. Zamierzał przekonać się, czy znajdzie Boga w skwarze doliny. A może raczej: czy Bóg znajdzie jego.

I oto tu był, maszerował, za nim stąpali ciężko żołnierze, a setki innych śledziły każdy jego krok z dwóch przeciwległych wzgórz.

Już miał wydać rozkaz, by się zatrzymali, kiedy spostrzegł ruch w gaju.

Dolina przypominała pustkowie, które przemierzyli wcześniej, była skalista, posępna i poprzecinana niezliczonymi szlakami. Tu i ówdzie wznosiły się kamienne grobowce, niektóre wielkie jak domy i bardzo stare. W oddali zagajnik skarłowaciałych pustynnych sosen otaczał niewielkie źródło. Pośród tych drzew również dostrzegł jakiś ruch.

– Stać! – rozkazał.

Żołnierze posłuchali. Postać, która pojawiła się przed nimi, machała podartą szmatką. Rękę miała owiniętą wyświechtaną tkaniną. Był to znak, który każdy z nich rozpoznawał i którego wszyscy się lękali. Mieszkali tu trędowaci.

Antoniusz poczuł, jak jego pustym żołądkiem wstrząsa dreszcz strachu. Zmusił się, by ruszyć przed siebie. Zatrzymał się dwa kroki przed nieznanym, który uczynił to samo. Dopiero wtedy Antoniusz zdał sobie sprawę z tego, że stoi przed nim kobieta.

– Nie mamy jedzenia – wychrypiała. – Ani wody. Źródło wyschło.

– Możemy dać wam jedzenie i picie – odrzekł Antoniusz. – Ilu was jest?

Kobieta pokręciła głową, jakby nie wierząc w to, co usłyszała.

– Dacie?

– Jedzenie i wodę – potwierdził Antoniusz. – Ilu...

– Dwadzieścia siedem osób. – Kobieta drżała z niecierpliwości. – Było nas trzydzieścioro, ale troje zmarło.

Głos ten należał do osoby młodszej od niego, co czyniło strupy i blizny tym trudniejszymi do zaakceptowania.

– Jeszcze dziś zostawimy wam zapasy w tym miejscu. – Wskazał na skarłowaciały zagajnik. – Dokąd prowadzi droga przez dolinę?

– Do starych murów.

– A pozostałe doliny, które leżą pod miastem? Dlaczego nie ma tam szlaków?

– Wszystkie ciągną się do gór.

Antoniusz pokiwał głową. Tak przypuszczał. Podniósł wzrok na żołnierzy, teraz stłoczonych przy starym murze dokładnie nad nimi. Nadal nie wykonywali żadnych niepokojących ruchów. Jakby powstrzymywała ich jakaś silniejsza ręka. Antoniusz już miał się odwrócić, ale spytał jeszcze:

– Czy znasz Jezusa?

Kobieta skuliła się, jakby zła odpowiedź miała kosztować ją utratę obiecane-go posiłku.

– Czy... czy to Rzymianin, panie?

– Zdecydowanie nie. – Antoniusz zaczął jej tłumaczyć, ale szybko wyczuł, że podstawowe potrzeby czynią kobietę głuchą na wszystko poza głodem i pragnieniem. – Wrócę z jedzeniem. Albo przyjdzie za mnie ktoś inny. Proszę, byście go wysłuchali.

Zamiast powrócić do swoich towarzyszy, zaczął wspinać się po zboczu w kierunku wyrwy w murze miejskim. Gdy Fawian go zawołał, odkrzyknął:

– Stójcie tam!

Położył swój sztylet na kamieniu. Zdjął również płócienny pas na znak rozejmu i podszedł do murów na tyle blisko, by strażnicy go usłyszeli. Mężczyźni obserwowali go z determinacją wyszkolonych żołnierzy. Antoniusz dostrzegł tylko jednego młodszego oficera. Nie było tu nikogo wyższego rangą.

– Jam jest trybun Antoniusz. Służę Konstantynowi. Przybywam do Jerozolimy w pokoju, jako pielgrzym, razem z Heleną, matką Konstantyna. Ma ona ze sobą obwieszczenie, które nakazuje przywrócić wszystkim chrześcijanom pełne prawa obywatelskie w całym imperium.

Odpowiedział mu młody głos:

– Trybun Sewerus uważa, że edykt to łgarstwo!

– Jutro przyniosę wam kopię edyktu Konstantyna. Zostawię ją na tym kamieniu. Przekonacie się, że mówię prawdę. Jeśli są wśród was chrześcijanie, już nie muszą ukrywać swojej wiary. Prześladowania naśladowców Jezusa zostały zabronione.

Włócznie wciąż lśniły w przyćmionym świetle. Wiatr ucichł, gdy Antoniusz mówił, co oznaczało, że jego głos dobrze się niósł. Antoniusz chciał wymyślić jakąś dobrą puentę. Przyszło mu do głowy tylko jedno:

– Niech was wszystkich błogosławi Zmartwychwstały.

Odwrócił się i odszedł do czekających na niego towarzyszy.

Po powrocie do obozowiska poszedł prosto do Heleny i Makariusza. Opowiedział im o spotkaniu z trędowatą. Gdy mówił, Helena poczuła napływ bezmiernego spokoju. Jego fala wdarła się do jej serca z taką siłą, że Helena usłyszała tylko własne słowa:

- Post dobiegł końca.
 - Moja pani? – odezwał się Antoniusz.
- Helena zwróciła się do zawsze milczącej służki:
- Przygotowałabyś dla nas posiłek?
 - Czy zdarzył się cud? – spytał Makariusz.
 - Nie mam pojęcia – odparła. – Ale czuję...
 - Cóż takiego?

Nie trzeba było jednak nic dodawać. Nie istniały słowa, w których dałoby się ująć to, co czuła. Jakby niewidoczne drzwi stanęły otworem, a jej świat zalało światło. Musiała tylko pójść do przodu i wkroczyć w nową rzeczywistość.

Zjedli skromny posiłek. Helena pomyślała, że to najlepsza strawa w jej życiu. Kiedy skończyli, spytała:

- Czy zamierzasz zabrać zapasy dla trędowatych jeszcze dziś?
- Jeśli nie masz nic przeciwko. Bardzo ich potrzebują.
- Czy mogę pójść z tobą?

Wszyscy, którzy usłyszeli jej słowa, odwrócili się nagle.

- Chcesz poznać tę dziewczynę? – spytał cicho Antoniusz.
- Czuję się do tego wezwana. Nie mam pojęcia, dlaczego.

Późnym popołudniem Antoniusz i jego ludzie objuczyli sześć osłów jedzeniem oraz bukłakami z wodą. Wyruszyli na godzinę przed zachodem słońca. Ta sama grupa żołnierzy zeszła za nimi z boczem. To samo skupisko włóczy pod murami miasta wytyczało im drogę.

Spomiędzy drzew wynurzyły się obandażowane postaci.

- Zaczekaj tutaj – polecił Helenie Antoniusz.
- Chcę pomóc.
- Pani, to niebezpieczne.

– Nic w tej podróży nie jest bezpieczne. Ani jeden krok. A oto żyję. Bóg mi obrońcą. Proszę. Pozwól mi pomóc.

Żołnierze zatrzymali się z wyraźną ulgą. Helena i Antoniusz chwycili lejce i poprowadzili osły przed siebie. Helena usiłowała opanować emocje. Patrzyła, jak trędowaci rozładowują zapasy i niosą je do swojego obozowiska.

Wtem do Antoniusza i Heleny podeszła młoda kobieta.

Antoniusz podał jej jedzenie. Helena musiała się powstrzymać, by nie skulić się, gdy pokryta bandażami dłoń chwyciła poczęstunek. Zaczekali, aż trędowata

skończy jeść.

Helenie krajało się serce na jej widok. Pomyślała, że ta kobieta jest bardzo młoda. To czyniło tę chwilę jeszcze bardziej tragiczną.

Helena przysiadła na kamieniu i skinęła na trędowatą, by uczyniła podobnie.

– Na imię mi Helena. A tobie?

Kobieta udawała, że nie słyszy. Helena uznała, iż milczenie to oznacza, że kobieta porzuciła wszystko, nawet własne imię, gdy wygnano ją w to miejsce. Spróbowała raz jeszcze:

– Ile masz lat?

Tym razem kobieta odpowiedziała:

– Tysiąc.

Helena zwalczyła nagły napływ łez. Po chwili ciszy przemówił Antoniusz. Ku zaskoczeniu Heleny opowiedział kobiecie o swojej żonie. Że go kochała, a potem ją utracił. Że podczas podróży sięgnął nowej głębi wiary, takiej, która zapanowała nad jego jałowym życiem i przemieniła nie tylko codzienność, lecz także perspektywę.

Kobieta nie odpowiedziała. Nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Po jej twarzy płynęły łzy, ale nie uczyniła żadnego ruchu, by je otrzeć. Gdy Antoniusz przestał mówić, Helena wiedziała, że nadeszła pora, by i ona podzieliła się z trędowatą swoją historią.

– Mój mąż okradł mnie z życia. Oddalił mnie. Ograbił mnie z domu, pozbawił dobrego imienia. Okrył hańbą. Myślałam, że moje życie się skończyło. Myślałam, że już nigdy mu nie wybaczę. Myślałam, że Bóg mnie opuścił. Myślałam... Myślałam, że nigdy nie zdołam wybaczyć Bogu.

Kobieta skryła twarz w dłoniach owiniętych w brudne tkaniny. Widoczne skrawki jej skóry były poszarzałe i odchodziły płatami niczym skorupa tworząca się na czerstwym chlebie. Helena przełknęła głośno ślinę.

– Pan wezwał mnie do tej podróży. Pomyślałam, że albo umrę po drodze, albo ukończę tę misję dla Niego. Przez cały czas uważałam się za osobę bezwartościową, ponieważ skrycie płonęłam gorzką wściekłością na Boga, który pozwolił, by życie tak się ze mną obeszło. Inni uważali mnie niemal za świętą. Tylko ja wiedziałam, jak bardzo jestem bezwartościowa. Okłamywałam Go z każdym krokiem. Zawodziłam z każdym oddechem.

Kobieta jęknęła cicho. Możliwe, że chciała powiedzieć: „Przestań!”. Ale Helena nie miała pewności. Mówiła więc dalej:

– Spośród wielu cudów, jakich byłam świadkiem w Judei, największym okazało się uzdrowienie mojego serca. To z jego powodu ja i mój przyjaciel siedzimy tu teraz. Chcemy podzielić się z tobą siłą, którą daje Jezus. Dać ci szansę na poznanie Jego miłości i pokoju. Nawet tutaj, w dolinie żalu i rozpacz, On woła do ciebie tak, jak wołał do nas.

– Amen – powiedział łagodnie Antoniusz. – Amen.

Kobieta nadal nic nie mówiła. Helena skinęła na Antoniusza. Wstali i ruszyli w stronę czekających na nich żołnierzy. Pod murem nadal stały wojska. Włócznie lśniły w ostatnich promieniach słońca. Dopiero teraz Helena zdała sobie sprawę z tego, jak wiele otrzymała w tej opustoszałej dolinie. Dopiero teraz była w stanie pomyśleć o milczącej potędze, która ją chroniła. Dopiero teraz.

Gdy zaczęli się wspinać, odwróciła się, by spojrzeć na trędowatą. Kobieta wciąż stała w tym samym miejscu. Nagle zawołała:

– Wydaje mi się, że mam dziewiętnaście lat.

Antoniuszowi śniła się młoda kobieta postarzona przez trąd. Widział wszystkie te ostrza, którymi życie odcięło ją od świata. Obudził się, wciąż słysząc jej wołanie. Wspomnienie ogarnęło go z ogromną siłą. Dopiero po chwili zorientował się, że w kierunku jego posłania idzie trzech żołnierzy.

– Obudziłeś się, panie?

– Ledwo co. – Antoniusz z trudem stanął na nogi i wziął od Kratosa kubek z wodą. – Jak minęła noc?

– Spokojnie, panie. Bardzo spokojnie. Ale jest coś, co powinieneś zobaczyć.

Antoniusz udał się za posiwiiałym żołnierzem do Fawiana i Ewandera, którzy stali przy krańcu gaju. Spojrzał w dół na drogę. Około dwudziestu mężczyzn opuszczało Jerozolimę przez pozostałości roztrzaskanej bramy. Kierowali się ku nim. Na czele szedł dowódca, którego lśniący napierśnik połyskiwał w porannym słońcu.

Widok tej grupy zaskoczył Antoniusza. Najwyraźniej Fawian podzielał jego zmieszanie.

– Sewerus chce zawrzeć rozejm?!

– Na to wygląda.

Ewander burknął z niedowierzaniem:

– Ten człowiek nigdy nie miał chrześcijanom do zaoferowania nic prócz ostrza miecza.

Kratos pokiwał głową.

– Już wiele razy posyłano zwiadowców pod pozorem pokojowych zamiarów.

Antoniusz z trudem skupiał się na niebezpieczeństwie, jakby percepcję zaburzały mu nie tylko sensne obrazy.

– Przekonajmy się.

– Mam zbudzić Helenę? – spytał Kratos.

– To zadanie dla żołnierzy. Pozwól jej spać.

Ten dzień miał być pełen niespodzianek. Do żołnierzy przybiegło dwóch rabinów. Każdy z nich przytrzymał jedną ręką swoją szatę. Kilku żołnierzy uznało to za znak i również ruszyło do przodu. Wyglądało to tak, jakby cały obóz miał zaraz opustoszeć. Antoniusz uniósł dłoń i wydał rozkaz:

– Pójdzie z nami pierwszy tuzin. Reszta zostanie na miejscu. – Skinął na rabinów. – Możecie dołączyć, jeśli chcecie.

Sewerus bacznie ich obserwował. Jego twarz wykrzywił ten sam kpiący uśmieszek co zwykle. Antoniusz nie czuł żadnego gniewu. On i jego ludzie dotarli do wnętrza doliny i rozpoczęli wspinaczkę. Jako oficerowi nie powinna podobać mu się konieczność wychodzenia do Sewerusa. W ten sposób stawiał się przecież w niekorzystnej sytuacji. Znalazłszy się trzy kroki od wroga, Antoniusz się za-

trzymał.

– Czego chcesz, Sewerusie?

– Dla ciebie „panie Sewerusie”, szumowino. Nakazano ci kłaniać się wyżej postawionym.

– Zawsze to czynię.

– Stoisz przed trybunem.

– Podobnie jak i ty.

Nieprzyjacielowi bardzo się to nie spodobało.

– Parwenuiszowska matka tego nieudacznika powinna mi dziękować za to, że pozwoliłem jej powitać kolejny świt.

– Ona dziękuje nieustannie, ale nie tobie. – Zdawało mu się, jakby wyrosła przed nim ściana. Taka, której nie zburzy gniew wroga. – A jej syn nigdy nie poniósł klęski w walce.

– Jeszcze – zadrwił Sewerus. – Jeszcze nie poniósł klęski.

– Pytałem, czego chcesz.

Pod lśniącym napierśnikiem Sewerus nosił piękną tunikę. Skórzane opaski na jego rękach były ozdobione rzymskimi orłami. Hełm lśnił w słońcu. Karmazynowy płaszcz przytrzymywały złote naramienniki, symbol wysokiej pozycji społecznej. Sewerus przyjrzał się szaremu odzieniu Antoniusza i nad jego naoliwioną brodą pojawił się szydrczy uśmiech.

– Każę ci ubierać się jak szumowiny, które prowadzisz?

– Oni nie są szumowinami, a moja pani niczego mi nie nakazała.

Spokój Antoniusza tylko wzmógł wściekłość zabójcy.

– Po co tu przyszliście? Aelia Capitolina to nie jest miejsce dla was.

– W tym samym celu, o którym mówiliśmy w Cezarei. Towarzyszymy pani Helenie w drodze do Jerozolimy. W pielgrzymce. I chcemy dostarczyć wiadomość.

– Antoniusz podniósł głos, by usłyszeli go najbardziej oddaleni żołnierze. – Edykt mediolański uznaje wszystkich chrześcijan za pełnoprawnych obywateli Rzymu. Niniejszym wszystkie prześladowania...

– Cesarz Damaszku odrzuca ten quasi-edykt!

– Maksymin nie ma takiej władzy, by odrzucać cokolwiek. Cesarz wschodni złożył podpis pod tym dokumentem. Obok widnieje podpis Konstantyna.

Sewerus chciał protestować dalej, ale odezwał się jeden z jego ludzi:

– Panie, poruszenie na wzgórzu u wroga.

Sewerus podniósł wzrok i uśmiechnął się szydrczo.

– Przecież mamy pokojowe zamiary!

Antoniusz odkrył, że jego głos niósł się dalej, niż można się było spodziewać. Jego żołnierze zaczęli się już gromadzić. Broń i tarcze mieli w gotowości.

– Schować broń! Nie zbliżać się! – zawołał do nich. Nie odwrócił się dopóty, dopóki nie upewnił się, że rozkaz został wykonany. Następnie odezwał się do mło-

dego żołnierza stojącego za Sewerusem: – Nie jesteśmy wrogami. Każdy może dołączyć do nas w imię Pana.

– Niniejszym rozkazuję wam przywrócić dezertersów na ich stanowiska – warknął Sewerus.

– Wśród nas nie ma dezertersów.

– Przez noc straciliśmy siedemdziesięciu sześciu żołnierzy!

– I mam nadzieję, że dziś przybędą kolejni – odparł Antoniusz. – Ty także, jeśli Bóg pozwoli.

– To dezertersy, którzy zostaną ukrzyżowani jak ten wasz cały prorok.

– Jezus nie był prorokiem. To Zmartwychwstały.

– Był nikim! – Sewerus przeciął mieczem powietrze, jak gdyby celował ostrzem w gardło Antoniusza. – Spójrz na siebie. Rzymski oficer, który zadaje się z motłochem, ubiera się jak niewolnik i pilnuje okrytej hańbą córki karczmarza! Przynosisz wstyd armii!

Antoniusz wiedział, że kłótnią niewiele osiągnie.

– Opuśćcie teren zwany Wzgórzem Świątynnym. Usuń swoich żołnierzy z tej części miasta. Przyjmij edykt mediolański. – Spojrzał na młodego rabina, który obserwował wszystko błyszczącymi czarnymi oczami. – Wpuśćcie Judejczyków do Jerozolimy.

– Aelia Capitolina jest i zawsze będzie miastem rzymskim!

– Jerozolima należała do Judejczyków, nim usłyszała o Rzymie. Nadal do nich należy.

– Co proponujesz w zmian?

Antoniusz wiedział, że Sewerus spodziewa się negocjacji. Zamiast tego odwrócił się i dał swoim żołnierzom znak, by odeszli na wzgórze.

– Dostarczcie wiadomość.

Przez resztę dnia rabini stali na skraju powiększającego się obozowiska, rozglądali się dokoła i szemrali między sobą. Helena niecierpliwiła się, ale nic nie mówiła. Usiadła na kamieniu i powtarzała psalmy. Po południowym posiłku rabini podeszli do niej. Gdy usłyszeli słowa psalmów, odsunęli się jednak. Nie miała innego wyjścia, jak tylko modlić się i czekać. Rabini albo postanowią im pomóc, albo nie.

Pod koniec dnia Helena i Antoniusz ponownie objęczyli kilka osłów zapasami i poprowadzili je drogą do wnętrza doliny. Towarzyszyło im kilku żołnierzy i cywilów. Żołnierze pilnujący murów obserwowali, jak cała grupa schodzi ze wzgórza.

Gdy zeszli z głównej drogi i ruszyli w kierunku pustynnych sosen, Helena usłyszała tętent kopyt. Makariusz poganiał osła i wołał pogodnie:

- Czy mógłbym do was dołączyć?
- Przegapisz wieczorne nabożeństwo.

Biskup machnął ręką.

– Świetnie sobie poradzą beze mnie. Wśród nowo przybyłych jest z pół tuzina kapłanów.

- Nie wiedziałam o tym.

– Po cóż miałbym zajmować cię takimi sprawami, skoro masz tysiące dusz, którymi musisz się opiekować? – Wyciągnął rękę do Antoniusza. – Pomóż mi zejść.

- Droga jest wyboista. Powinieneś jechać – poradziła mu Helena.

– Powiniennem robić wiele rzeczy. Ale cały dzień siedziałem i słuchałem, jak rabini sprzecają się między sobą: czy powinni nam pomóc, czy nie, czy rzeczywiście znają szlak, jakim nasz Pan podążał na śmierć i zbawienie, czy potrafią wskazać Golgotę... – Chwycił laskę i pokuśtykał przed siebie, ale nie puścił ręki Antoniusza. – Myślę, że potrafią, ale traktują wiedzę jak srebro.

- Możemy obejść się bez ich pomocy – stwierdził Antoniusz.

- Ale możemy się też pomylić – odparła Helena.

– Potrzebujemy ich... – zaczął Makariusz – ponieważ inaczej nie dowiemy się, na którym wzgórzu zawisł i umarł nasz Pan, wytyczając nam tym samym ścieżkę do nieba.

Młoda kobieta wyłoniła się z zagajnika. Garbiła się, jakby bez przerwy spodziewała się podmuchu wiatru.

- Może powinieneś tu zostać – powiedziała Helena do kapłana.

– Nie ma takiej potrzeby – odrzekł Makariusz. Zawołał podniesionym głosem: – Niech cię Bóg błogosławi, moje dziecko! Czy mogę podejść?

Dziewczyna spojrzała ze strachem na Helenę.

- Makariusz jest przyjacielem – zapewniła ją Helena.

– Rzeczywiście nim jestem. Chciałbym zostać także i twoim przyjacielem.
Razem poprowadzili osły. Z zagajnika wyszli inni chorzy. Rozładowali zapasy i odeszli bez słowa.

Gdy została tylko młoda kobieta, Makariusz spytał:

– Czy mogę spytać cię o imię, dziecko?

Helena sądziła, że dziewczyna nie odpowie. Ale ona po chwili wahania wyszeptała:

– Akwilina.

– O, imię pochodzące od nazwy orła! Wspaniale. Niech twe serce nieustannie wzlatuje ku miejscu wiecznej szczęśliwości. – Mówił lekkim tonem, jakim zwracał się do każdego człowieka. – Powiedz mi, moje dziecko, czy znasz imię Jezusa?

Owinięta bandażem dłoni wskazała na Antoniusza.

– On mi trochę opowiedział. Podobnie jak pani.

Makariusz okazał wielką radość.

– Oczywiście. Cudownie. Czy zechciałabyś się z nami pomodlić, moja droga?

Może kiwnęła głową, a może po prostu się wzdrygnęła. Ale Makariuszowi to wystarczyło. Podał Antoniuszowi laskę, położył dłonie na głowie Akwiliny i przemówił łagodnie:

– Niech nasz Pan Jezus Chrystus skryje cię w swoich czułych ramionach. Niech Jego pokój otacza cię i osłania. Obyś poznała Jego miłość. Niech Jego światło oświeca twoje serce i ścieżkę przed tobą w najczarniejszej godzinie. Amen.

Helena podeszła i położyła jedną dłoń obok dłoni Makariusza.

– W imię Zmartwychwstałego. Amen.

Helena i Makariusz odprowadzili młodą kobietę do obozowiska trędowatych. Antoniusz szedł za nimi, ciągnąc osły. Kolejni chorzy przemykali pomiędzy drzewami. Nie ośmielili się jednak podejść do Makariusza, który przekazywał im znak pokoju. Gdy biskup skończył, Antoniusz pomógł mu wsiąść na osła. Pożegnali się z dziewczyną.

Już prawie wrócili na drogę, gdy Makariusz odezwał się do Antoniusza:

– Dałeś Akwilinie świadectwo?

– Słowa same cisnęły mi się na usta – odrzekł Antoniusz.

Makariusz wyciągnął dłoń i położył ją na jego głowie.

– Gdybym był twoim ojcem, nie mógłbym być bardziej dumny.

Kiedy obudzili się nazajutrz, odkryli, że żołnierze przy murze zniknęli.

Helena obeszła obozowisko. Słyszała, jak dowódcy dyskutują z powagą, zerkając ponad skąpaną w słońcu dolinę na opustoszałe mury Jerozolimy. Przed południem zdecydowali się posłać zwiadowców do miasta. Fawian, Kratos i Ewander posprzeczekali się o to, kto ma dostąpić tego zaszczytu.

Wszyscy, nawet rabini, obserwowali, jak Fawian prowadzi grupę trzydziestu mężczyzn przez pozostałości bramy. Dwie godziny później zwiadowcy wrócili z wieścią, że cała zachodnia dzielnica miasta jest pusta. Mimo to Antoniusz obserwował Jerozolimę aż do nabożeństwa. Obawiał się podstępu.

Helena podeszła do niego i spytała:

– Jest bezpiecznie?

– Na to wygląda, moja pani. Ale jest tylko jeden sposób, by się o tym przekonać.

– A zatem pozwól nam iść.

Gdy ruszyli, obóz za nimi zaczął pustoszeć. Nikt nie wydał żadnego rozkazu, a mimo to zarówno żołnierze, jak i dawni więźniowie schodzili kolejno ze wzgórza. Śpiewano:

Ciało i duch,
Zrodzony i niezrodzony,
Ciałem okryty Bóg,
W śmierci żywot prawdziwy,
I z Maryi, i z Boga,
Najpierw poddany, a potem niecierpieliwy,
Jezus Chrystus, Pan nasz[f].

Kierowali się prosto na Wzgórze Świątynne. Rzymscy mieszkańcy miasta obserwowali ich nadejście, zamykali się w domach, schodzili z ulic. Świątynia Saturna opustoszała. Jedyne dym unoszący się nad palnikami zdradzał niedawną obecność ludzi.

Helena stanęła na rozległym kamiennym placu i patrzyła przez chwilę na budowlę.

– Antoniuszu...

– Tak, moja pani?

– Zburz to.

– Rozkaz. – Odwrócił się do Ewandera i Fawiana. – Czy są jacyś ochotnicy do wykonania tego zadania? – spytał.

Helena przez cały dzień obserwowała, jak Antoniusz i jego załoga burzą

rzymską świątynię. Miną tygodnie, zanim oczyszczą teren z jej pozostałości. Pragnęła tylko wyrazić głośno, jakie mają intencje. Patrzyła, jak ogromne palniki z brązu i urny ofiarne rozbijają się o mur. Miała nadzieję, że to wystarczy, by przekonać rabinów.

Ewander rozkazał rozbić obozowisko na pokrytym gruzami płaskim terenie poniżej Wzgórza Świątynnego. Ich zastępy powiększyły się do tego stopnia, że wystarczyło ludzi do wypełnienia wszystkich obowiązków. I wciąż napływali nowi. Żołnierze przemykali między gruzami, rzucając za siebie przestraszone spojrzenia. Helena nie musiała słyszeć ich opowieści, by wiedzieć, że Sewerus kazał zabić każdego, kto zostanie przyłapany na „dezercji”.

Przy ich obozowisku wznosił się klif uformowany z ułożonych blisko siebie skał, który tworzył jedno ze zboczy Wzgórza Świątynnego. Wczesnym popołudniem rabini zgromadzili się przy wiekowych kamieniach. Na głowy narzucili szale w paski, a do ramion przywiązali tefiliny. Trzymali stare dokumenty i kiwali się monotennie. Na ten widok cały obóz ucichł.

Gdy zdjęli szale i tefiliny, Helena podeszła i zwróciła się do najmłodszego z nich:

- Czy mogę spytać, co czynicie?
- Modlimy się.
- Dlaczego tutaj?

W ciemnych oczach odbijało się kilkaset lat gorzkiego żalu.

– Nie wiemy dokładnie, gdzie znajdowała się świątynia Pana. Nie wolno nam postawić stopy na Świętym Świętych.

Helena zrozumiała. Rzymianie zburzyli ich święty przybytek. Tylko to rabini mieli przed oczami. Żadne jej słowa ani czyny nie zmyją tej plamy. Ukłoniła się im.

- Dziękuję za wyjaśnienie.

Po zachodzie słońca ruszyła w stronę gruzowiska i stanęła na murze. Antoniusz poszedł wraz z nią, po czym wrócił na dół, by pomóc Makariuszowi, który również chciał pokonać tę drogę. Światło księżyca sprawiało, że miasto było skąpane w pastelowych barwach. Dolina lśniła srebrem. W oddali Helena spostrzegła miejsce, w którym niewielkie źródło zwykle zapewniało trędowatym dostęp do wody. Teraz zostało tam tylko zaschnięte błoto. Helena pomyślała o Akwiline i pomodliła się, by młoda kobieta odpoczywała tej nocy spokojnie.

Gdy Makariusz spoglądał z żalem na najwyższe wzgórze w mieście, spytała:

- Gdzie był twój kościół?

– W mieście znajdują się pozostałości drugiego muru, moja pani. To ta ciemna linia, którą widzisz wzdłuż wzniesienia. W tych granicach leży najstarsza część Jerozolimy. Wciąż stoi tam samotne domostwo. Uważa się je za miejsce, w którym nasz Pan i apostołowie spożywali ostatnią wieczerzę. Nasz kościół znajdował się

nieopodał.

– I nic z niego nie zostało? – spytał Antoniusz.

– Wspomnienia – odparł Makariusz. – Nadzieja na jutro. W taką noc jak ta tyle wystarczy.

Powietrze ochładzało się szybko, wiał coraz silniejszy wiatr, niosący ze sobą szczególną woń pustyni. Helena wdychała zapach pustynnych kwiatów, stłamszonych przez upał.

Była tu obca, a jednak czuła Boży pokój. Wcześniej lękała się śmierci, teraz zaś odkryła szczerą radość z tego wszystkiego, co pozostało niewidoczne za zakrętem czasu. Poznała uciechę ze służby, z oczekiwania na dar kolejnego świtu.

Schodząc z muru, wyznała:

– Myślałam o Akwilinie.

– Ja także – odrzekł Antoniusz. – I o mojej żonie. I dziecku.

– Tęsknisz za nimi?

– Z każdym oddechem. A jednak odnalazłem radość w oczekiwaniu na jutro i każdy kolejny dzień. – Zawahał się przez chwilę, po czym dodał: – Czuję się winny z powodu tej radości.

– Nie powinieneś.

– Wiem to, na poziomie rozumu. Mówię sobie, że mam prawo do szczęścia.

– Ale trudno odrzucić żal – stwierdziła Helena.

– To tak, jakby rzeka mojego życia obrała nowy bieg. – Antoniusz zwrócił się ku niewidocznej już dolinie. – Zauważyłaś, że Akwilina zostaje w miejscu długo po naszym odejściu?

– Ten obraz wraca do mnie w snach.

– Ciekawe, kiedy ostatnio słyszała miłe słowo czy troskliwy głos.

– Dobry z ciebie człowiek, Antoniuszu – stwierdziła Helena. – Cieszę się, że tu jesteś.

– Ja również, moja pani. – Wciąż zwracał jednak twarz ku światłu księżyca i murom.

– Co się dzieje?

– Może ze straty płynie jeden sens – powiedział. – Obdarza ona zdolnością mówienia o żalu i zaoferowania pomocy innej zranionej duszy. Dzięki temu możemy pomóc cierpiącemu podnieść wzrok znad grobu, który – choć kusi – jeszcze do niego nie należy.

[f] Fragment pieśni wczesnochrześcijańskiej spisanej przez Ignacego Antiocheńskiego (przyp. tłum.).

Następnego ranka rabini zgodzili się im pomóc. Najstarszy z nich osobiście poinformował ich o tym postanowieniu. Wraz z żołnierzami przemierzyli puste alejki i zatrzymali się pod pokrytym gruzami szczytem przy wschodnich murach miasta.

– Tu stał pałac Piłata – obwieścił siwobrody rabin.

Budowla była kompletną ruiną. Helena wiedziała, że pałac namiestnika otaczały niegdyś wspaniałe ogrody. Jego komnaty były przestronne i bogato zdobione. Teraz nie zostało nic prócz gruzów i chwastów. Przyjrzała się zniszczeniom.

– Czy to możliwe?

Starzec był stanowczy.

– Pisma na temat miasta były sporządzane od trzech tysięcy lat. Nie ma wątpliwości. – Wyciągnął pomarszczoną dłoń. – Gdy zeloci napadli na Rzymian, jako pierwszy zniszczeniu uległ pałac Heroda, a następnie Piłata. Po klęsce ten drugi odbudowano. Gdy przejęliśmy później miasto, znów go zniszczyliśmy. Tym razem tak już zostało.

Helena pokiwała głową.

– A droga? I wzgórze?

– Trybunał Piłata mieścił się na przednim dziedzińcu jego posiadłości. – Rabin wskazał długą, stromą alejkę. – To bezpośrednia droga z pałacu na Golgotę.

W oddali wznosiła się druga świątynia, nie tak wielka jak ta, która znajdowała się na Wzgórzu Świątynnym, ale nowsza. Helena odwróciła się do kapłana.

– Makariuszu, co to za budowla?

– Świątynia Wenus, moja pani. – Przykuśtykał do nich. – Jeszcze nie ukończono jej budowy.

– Jesteś pewien, że to miejsce ukrzyżowania? – spytała rabina.

– Nie mam co do tego wątpliwości.

Ukloniła się staremu człowiekowi.

– Dziękuję ci w imieniu swoim i wszystkich, którzy pójdą za mną.

Starzec odwzajemnił ukłon. Helena zaczekała, aż kroki rabinów ucichną w oddali.

– Makariuszu?

– Tak, moja pani? – odpowiedział z grzbietu osła kapłan.

– Od dziś droga ta zwać się będzie Via Dolorosa[g].

Makariusz skłonił się nisko w siodle.

– Tak będzie, moja pani.

Odwróciła się i spojrzała na drogę. Zanim jednak zrobiła pierwszy krok, usłyszała za sobą śpiew.

Nic nie powiedziała. Przekaz był jasny.

Pod koniec głosy drżały.
Pozwoliła przez chwilę zapanować ciszy.
– Idźmy – wyszeptała.

Antoniusz maszerował na czele prawie stu jednostek. Znał przenikliwy, przyprawiający o kołatanie serca strach związany ze zbliżaniem się do większych sił wroga, które zajmowały pozycje na fortyfikacjach. Widział już pęd zakończonej ostrzami śmierci celującej prosto w niego. Przeżył niezliczone noce, podczas których oblewał się potem w strachu o siebie i swoich ludzi. Niósł niemożliwy do udźwignięcia ciężar martwego synka do grobu.

Ale nic z tego nie mogło się równać z nabożnym lękiem przeżywanym podczas tej wędrówki.

Słońce przeświecało miejscami przez szary welon chmur. Na miasto i kamienną ścieżkę padały jaskrawe promienie. Jerozolima wydawała się opustoszała. Domy pozamykano, mieszkańcy zniknęli. Helena i jej towarzysze maszerowali w niemal całkowitej ciszy. Słyszeć było jedynie odgłosy kroków i sporadycznego łkania.

Antoniusz doskonale rozumiał powód tego płaczu. W końcu nie podążał po prostu ścieżką Jezusa – on także niósł swój krzyż. Jeszcze nigdy nie czuł się tak blisko swoich grzechów, porażek, nieobecnych żony i dziecka, wszelkich niemożliwych do poniesienia ciężarów życia, sromotnych klęsk. Był nie tylko przytłoczony zgryzotą i winą. Był skazańcem. Zasługiwał na śmierć.

Droga najpierw obniżała się, a potem wznosiła. Szerokie schody oddzielały od siebie dwie płytkie koleiny, w których mieściły się koła. Powyżej pojedyncze promienie słońca padały na świątynię. Wydawało się, jakby kamienny gmach topniał, pozostawiając wzgórze śmierci. Czekał na ich wszystkich.

Wspięli się na szczyt i zatrzymali pod schodami prowadzącymi do świątyni. Słońce bledło, chmury całkowicie przesłoniły niebo. Dach wspierał się na kolumnach, ale brakowało ścian. Pośrodku znajdowały się ołtarz i marmurowy posąg Wenus.

Antoniusz wiedział, że Helena oczekuje jego działania. Odwrócił się do Fawiana i Ewandera, idących na czele tłumu. Obaj mieli wilgotne policzki. Tak jak i on. W ciszy skinął na nich. Do zgromadzonych nieustannie dołączali kolejni ludzie.

Żołnierze i byli więźniowie zaczęli rozbierać ołtarz. Następnie zanieśli posąg na tyły świątyni. Antoniusz odkrył, że znajdują się dokładnie nad doliną i sosnowym zagajnikiem. Żołnierze pomogli mu zrzucić posąg ze skały. Gdy patrzył, jak wizerunek bogini spada, uderzając o zbocze, kątem oka dostrzegł postać wyłaniającą się z lasku. Osoba ta znajdowała się za daleko, by dojrzeć jej twarz, ale wiedział, że to Akwilina.

- Makariuszu, chciałam cię prosić o pomoc – odezwała się Helena.
- Głos okaleczonego kapłana był pełen emocji.
- Służę ci, moja pani.
- Chciałabym poświęcić ten przybytek naszemu Bogu.
- Pani, w oczach Boga i ludzi już to uczyniono.
- [g] Z łac. ‘droga cierpienia’ (przyp. red.).

Helena stała i patrzyła, jak żołnierze, byli więźniowie i pozostali wspólnie wrywają ornamenty z murów świątyni. Jediną osobą, której nie pochłaniały te działania, był Antoniusz. Podeszła do niego.

– Coś się dzieje?

– Spójrz w dół.

Zerknęła za stromą skałę. Zbocze z tyłu, od strony miasta, było łagodniejsze. Biegła nim ścieżka. Ale tutaj ziemia obniżała się gwałtownie. W oddali po prawej widać było miejsce po maleńkim źródle i sosnowy zagajnik. Stała tam samotna postać.

– Czy to Akwilina?

– Owszem. Macha do nas.

– Myślisz, że chce tutaj wejść?

– Pani, sądzę, że jest dokładnie odwrotnie.

– Ale my jesteśmy zajęci... – Helena przyglądała się klifom dookoła. Droga prowadząca z Jerozolimy do gaju oliwnego biegła po przeciwnej stronie zagajnika. Helena nigdy nie widziała tego miejsca z takiej perspektywy. Jej uwagę przykuł sposób, w jaki słońce rzucało cienie.

– Czy to jaskinie?

– Na to wygląda – odpowiedział Antoniusz.

Im dłużej patrzyła, tym bardziej nabierała pewności, że dobrze widzi. W tym miejscu dolina była wąska, miała może trzysta kroków szerokości. W skale widniały setki małych otworów.

– Te jaskinie wydrążyli ludzie.

– To krypty – stwierdził Antoniusz. – Stoimy nad starym cmentarzyskiem.

Helena dostrzegła, że Akwilina ponownie stara się przywołać ich gestami. Usłyszała za sobą głos Makariusza:

– Drodzy bracia i siostry, zgromadziliśmy się tutaj w zadumie nad urzeczywistnieniem się niemożliwej do poczynienia ofiary.

Helena odwróciła się i skinęła na kapłana.

– Wybacz, ale czy mógłbyś chwilę zaczekać?

– Oczywiście, pani.

– Dziękuję ci. – Helena odwróciła się do Antoniusza. – Przekonajmy się, czego ona chce.

Antoniusz musiał poczuć to samo pragnienie, gdyż bez słowa ruszył w dół.

Antoniusz schodził wąską ścieżką, tylko odrobinę bardziej wydeptaną od dróżki, którą wybierały kozy. Poruszał się ostrożnie, ponieważ było stromo. Ku

jego zaskoczeniu młoda kobieta szła w jego kierunku.

Na niższych partiach zbocza zobaczył dziesiątki owalnych wejść. Wiele z nich przesłonięto głazami ociosanymi na płasko niczym kamienie młyńskie, osadzonymi w wąskich koleinach. Wiedział, że tą ścieżką niegdyś chodzili grabarze i żałobnicy.

Nieszczęsny rok cierpienia sprowadził go w to samo miejsce, w którym się rozpoczął. Jego życie skończyło się nad dwoma grobami, a nad kolejnymi miało znowu się rozpocząć. Antoniusz nie wiedział, skąd ta absolutna pewność. Zapłakałby, lecz wstrząs okazał się tak wielki, że mężczyzna nie potrafił zdobyć się na łzy.

Akwilina wspięła się po zboczu i stanęła tuż przed nim. Wskazała otwór, przy którym spoczywał odsunięty kamień, i przemówiła głosem łagodnym niczym podmuch lekkiego wiatru w tej dolinie śmierci:

– Tam jest drewno, które się nie pali.

Helena ruszyła przed siebie. Musiała zwolnić tempo jedynie z uwagi na konieczność pomocy Makariuszowi przy wsiadaniu na osła. A ponieważ kapłan nie przemieszczał się wystarczająco szybko, popychała go. Pewnie wyraziłby sprzeciw, gdyby pozwoliła mu coś powiedzieć. Ale kiedy tylko wsiadł, chwyciła lejce i zaczęła biec.

W miejscu, w którym droga osiągała najniższy punkt, nim znów zaczynała się wspinać, trzy zburzone budowle tworzyły gruzowisko łączące się z otworem w murze miejskim. Helena przedarła się przez ruiny, ściskając lejce i nie zważając na głośne protesty Makariusza. Minawszy mur i zszedłszy z nasypu, puściła się biegiem, szybko jak jeszcze nigdy w życiu. Czuła się, jakby podmuchy wiatru z całego świata pchały ją do przodu.

Za nią spieszył tłum ludzi. Najstarsi i chorzy wlekli się daleko z tyłu, byli jeszcze na wzgórzu.

Wreszcie dotarła do miejsca, gdzie stał Antoniusz. Brakowało jej tchu. Żeby ustać na nogach, musiała chwycić się osła.

Wielu innych obrało prostszą drogę w dół. Patrzyła, jak gromadzą się przy jednej z jaskiń, i próbowała powstrzymać łzy. Pragnęła zapamiętać każdą chwilę. Chciała widzieć wszystko wyraźnie. Ten widok miał wryć się w jej duszę. Tam, gdzie przynależał.

– Pewien starszy parafianin powiedział mi kiedyś, że drewno zanurzone w ludzkiej krwi jest odporne na ogień. – Makariusz mówił łagodnie i z czcią.

Zarówno sosnowy zagajnik, jak i obozowisko trędowatych opustoszały. Tylko Akwilina, która stała w cieniu drzew, obserwowała wszystko uważnie.

– Rzymianie wielokrotnie używali tych samych krzyży – ciągnął Makariusz.
– Takie drewno niesie ze sobą strach.

Helena poczuła niezwykłą wdzięczność do starego kapłana, który cały czas był przy niej. Tylko dzięki niemu nie czuła się przytłoczona.

– Opisz mi wszystko dokładnie – poprosiła Antoniusza.

Wskazał skałę i otoczony ludźmi grobowiec.

– Kamień odsunięto. W środku, niczym ciało, spoczywa sześć kawałków drewna.

– Pokaż mi je, proszę.

– Pójdź za mną, moja pani. – Gdy ruszyli, Antoniusz zawołał: – Cała reszta niech zostanie na miejscach! Ścieżka jest za wąska dla wszystkich. Wy tam, na górze, zróbcie przejście dla cesarzowej. Kratosie, zagroź drogę!

Helena wdrapała się wąską ścieżką. Ewander i Fawian stanęli po obu stronach wejścia do jaskini. Antoniusz został z tyłu. Helena schyliła się i zajrzała do środka.

W krypcie było zimno. Powietrze pachniało suszonymi ziołami i kurzem. Helena przez dłuższą chwilę stała w miejscu. Następnie weszła do środka. Poczuła, że przesywają ją dreszcze.

Jaskinię wyłobiono w tradycyjny sposób. Wewnątrz wyrzeźbiono szeroką półkę, na której miały spoczywać ciała. Znajdowało się tam też wąskie siedzenie dla żałobników czuwających przy zmarłym.

Tyle że w tym szczególnym grobowcu nie było ciał ani kości. Na kamiennej półce spoczywało sześć kawałków drewna. Trzy wysokie pale i trzy poprzeczne belki. Każdy fragment był grubości jej talii i miał czarny kolor.

Nad drewnem, na maleńkiej półeczce, na której być może niegdyś paliła się lampka oliwna, leżało pojedyncze drewnienko. Było ono wielkości dwóch dłoni Heleny. Na jego powierzchni widniały litery.

W imperium na krzyżach najgorszych zbrodniarzy umieszczano tabliczki. Wypisywano na nich przewinienia i przybijano je nad głową skazańca.

Na tej tabliczce zapisano cztery litery. Nie miały one wskazywać zbrodni, lecz być wyrazem kpiny. Piłat nie chciał potępić człowieka, którego uważał za niewinnego, ale zmusił go do tego Sanhedryn. Napis oznaczał: „Jezus z Nazaretu, Król Żydowski”...

Na środku doliny ułożyli kawałki drewna w krzyże. Po układzie otworów pozostałych po gwoździach byli w stanie rozpoznać, która belka wisiała na którym palu. Położenie tabliczki pozostało jednak tajemnicą. Może przywiązano ją u szczytu, a może wisiała na małym gwoździu? W każdym razie nie mieli pojęcia, na którym krzyżu zawisł Mesjasz.

Tłum otoczył trzy krzyże spoczywające na skalistej ziemi. Zaskrzeczała wrona. W sosnowym zagajniku za nimi szumiał wiatr.

Czekali.

Helena i Antoniusz odwrócili się i rozejrzeli. Ogromny tłum był milczącą jednością. Wszyscy trwali w oczekiwaniu. Wiedzieli, że są świadkami czegoś, czego nie sposób ogarnąć rozumem. Radowali się, że mogą stać lub klęczeć i uczestniczyć w chwilach będących poza zasięgiem człowieka, poza pojęciem czasu.

– Potrzebujemy.... – przemówiła Helena – znaku.

Makariusz stanął za nią. Oparł się o laskę.

Odwróciła się do okaleczonego kapłana.

– Makariuszu, dotknij drewna. Zobaczymy, czy Pan cię uzdrowi.

– Pani, nie ośmieliłbym się. – Posłał jej smutny uśmiech. – To moje ciernie. Są tu w jakimś celu. Zostałem okaleczony, by móc prowadzić ranne owce.

– Jesteś tego pewien?

– Modliłem się – wyznał Makariusz. – Wielokrotnie. Pan mi odpowiedział.

Nie spodobało jej się to, nie miała jednak innego wyjścia, jak tylko przyjąć jego słowa do wiadomości. Rozglądała się po zgromadzonych. Było pośród nich wielu rannych. Nikt jednak nie wystąpił z szeregu.

I nagle dotknęła ją ręka Boga.

Poczucie jedności z tym, co niewidoczne, zaszokowało Helenę. Wstrząs był tak silny jak podczas wizji. Tym razem jednak stała z otwartymi oczami, otoczona przez tłum.

Spoczął na niej Duch. Ten dar przeniknął ją tak głęboko, że Helena poczuła, jak z jej oczu tryskają łzy, jakby emocje musiały znaleźć ujście.

Antoniusz dostrzegł zmianę w Helenie. W jednej chwili zniknęły wszelkie jego wątpliwości, ponieważ sam doświadczył Bożego dotyku. Nigdy wcześniej nie przeżył takiej chwili. Miała ona w sobie niezwykłą siłę. Usłyszał niewypowiedziane słowo Ducha.

Zdał sobie sprawę z tego, że już nie opuści tej ziemi. Że to ma być jego dom. Żołnierze, którzy go otaczali, byli na jego rozkazy. Ich zadanie polegało na służeniu wspólnocie wiernych. W obliczu niebezpieczeństwa Antoniusz i jego towarzysze broni mieli zaprowadzać porządek. Odbudują zrównane z ziemią kościoły i odnowią rozbite wspólnoty. Będą służyć ludziom, a on przeżyje wiele dni wypełnionych znaczeniem. Kiedy zaś jego czas na ziemi się skończy, zostawi za sobą całkiem odmieniony świat.

I w tej chwili radosnej akceptacji Antoniusz otrzymał drugą wiadomość. Miał dostać znak, dzięki któremu nabierze pewności, że to rzeczywiście Boży palec poruszył jego serce, wskazał kierunek jego dalszego życia.

Gdy zdał sobie sprawę z tego, czym ów znak się okaże, musiał zrobić wszystko, by nie paść na kolana.

– Antoniuszu?

– Moja pani. – Zawahał się i z trudem przełknął ślinę. – Bóg do mnie przemówił.

– Do mnie również. – Wyciągnęła rękę. – Uczyńmy to razem.

Tłum się rozstał. Żołnierz i cesarzowa, wdowiec i zhańbiona córka zapomnianego karczmarza wypełniali Słowo, którego nie sposób usłyszeć ludzkim uchem. Niegdyś łączyły ich chwile samotności i strachu w obliczu zagłady. Teraz połączyli się na pielgrzymim szlaku, otoczeni przez tysiące przeznaczonych na stracenie istnień, które zyskały nową nadzieję. Zmierzali do jedyne go prawdziwego i wiecznego celu.

Szuranie stóp i laski zwiastowało nadejście kolejnej osoby.

– Czy mogę się przyłączyć?

Antoniusz oniemiał z wrażenia. Ale Helena była ulepiona z twardszej gliny.

– Chodź, mój drogi przyjacielu. Chodźmy po nią razem.

Okaleczony kapłan, zrozpaczony żołnierz i bezimienna pani szli przed siebie. Minęli aleję, przy której stali ich milczący przyjaciele, i podeszli do kobiety siedzącej na kłodzie pod szumiącymi sosnami.

– Nie... – zakwiliła.

Antoniusz widział tylko jej sylwetkę, ale to nie miało znaczenia. Kobieta lśniła obietnicą Bożej obecności.

– Chodź – powiedział po prostu.

– Nieczysta – załkała. – Nie wolno.

Helena wyciągnęła dłoń i ponagliła ją łagodnie.

– Dziecko, weź mnie za rękę.

– Rób, co mówi pani, moja droga – powiedział Makariusz. – Wszystko jest dobrze.

Bandaże okrywające palce chorej wpasowały się w uścisk Heleny niczym gładka rękawiczka. Dwie kobiety stanęły pośrodku milczącego kręgu.

– Cóрко, czy jesteś naśladowczynią Jezusa? – spytała Helena z uśmiechem.

– Jestem – wyszeptała dziewczyna. – Jeśli On mnie przyjmie.

Helena wskazała trzy krzyże leżące na ziemi.

– Dotknij drewna.

Stało się to, gdy dziewczyna uklękła przed środkowym krzyżem. Niemy chór niebiańskiej radości, welon okrywający dolinę i cały świat poza nią. Oślepiające światło.

Młoda kobieta wydała z siebie okrzyk zdumienia:

– Zostałam uleczona!

Żołnierze milczeli i czekali. Antoniusz, trybun nowego wojska, stał przed nimi. Szeregi ciągnęły się od drogi prowadzącej na arenę do statku zacumowanego w porcie. Nad nimi wznosiły się wzgórza Cezarei. Dzień był upalny. Antoniuszowi ten widok przypominał dzień, kiedy tu przybyli. Od tego czasu wszystko się jednak zmieniło.

Kratos, dowódca osobistej straży Heleny, wyłonił się z cienia i dał znak. Antoniusz zwrócił się do mężczyzn, którzy stali po jego obu stronach:

– Skontroluję wojska.

Fawian, nowo mianowany dowódca zwiadowców, uderzył się pięścią w pierś. Ewander, zastępca Antoniusza, odwrócił się i ryknął:

– Baczość!

Dziewięćset osiemnaście prawych stóp uderzyło o bruk w porcie. Antoniusz przeszedł pośród szeregów. Ci mężczyźni naprawdę zasługiwali na uznanie. Reprezentowali różne klany i kultury, ale zjednoczył ich ten sam nieprawdopodobny dar, który dał Antoniuszowi siłę, by nimi dowodzić. Trybun zatrzymał się przy jednym z ostatnich przybyłych ochotników, byłym dozorcą więziennym imieniem Janius. Powitał go, kładąc mu dłoń na ramieniu. Zaskoczony mężczyzna aż westchnął. Rzadko kiedy dowódca traktował tak rekruta. Ale ten legion był osobliwy pod wieloma względami.

Armie strzegące dawniej Judei zniknęły. Sewerusa nie widziano od dnia, w którym przekroczyli mury Jerozolimy. Antoniusz potrzebował nowych ludzi. Gdyby nieprzyjaciele z Damaszku postanowili ich teraz zaatakować, nie dałby im rady. Nie potrafił jednak martwić się i uznał to za znak nowych czasów. Bóg zapewni im wszystko.

Minąwszy ostatnich żołnierzy, Antoniusz wrócił na swoje miejsce i skinął na Ewandera.

– Spocznij! – krzyknął Ewander.

– Stół! – rzucił Antoniusz.

– Tak jest! – Ewander i jego zastępca przeszli na bok i przynieśli podniszczony stół, który znaleźli w okolicach areny. Drewno było poplamione. Mogliby wziąć któryś z polerowanych mebli z pałacu namiestnika, ponieważ Firmilian wraz z całą świtą umknął do Damaszku, ale Antoniusz uznał, że właśnie ten stół, pochodzący z miejsca, gdzie tak wielu ludzi dokonało ziemskiego żywota, będzie najlepiej pasował.

Wzdłuż portowego muru zgromadził się tłum wiernych. Wielu z tych ludzi było niegdyś więźniami. Inni przybyli z wiosek, które odbudowano. Akwilina stała w pierwszym szeregu jako piękne świadectwo cudów i nadziei na nowe jutro. Antoniusz poczuł na sobie jej wzrok, ale zmusił się do skupienia uwagi na drodze i

oczekiwaniu.

W stolicy Judei panowała całkowita cisza. Świątynie, które królowały na okolicznych szczytach, opustoszały, podobnie jak ulice, rynki, forty i port. Jedyne dźwięk wydawała z siebie krążąca nad ich głowami mewa.

Nagle usłyszał kroki.

Nim zdążył dać znak, Ewander krzyknął do żołnierzy, by stanęli na baczność.

Helena pojawiła się jako pierwsza. Wyglądała na wyczerpaną, czemu trudno się było dziwić. Po opuszczeniu Jerozolimy przebyła okoliczne ziemie wzdłuż i wszerz. Głosiła wieść o edykcji swego syna, rozstrzygała spory, nadawała tytuły i wznosiła kościoły.

Za nią szedł Kratos. Prowadził osła, na którego grzbiecie siedział biskup Jerozolimy. Makariusz udzielił wszystkim cichego błogosławieństwa.

Dalej szło sześciu żołnierzy. Każdy z nich niósł kawałek drewna z krzyża. Większość relikwii miała pozostać w kościele, który na Golgocie poprowadzi Makariusz. Ale jeden fragment Helena zabierała ze sobą. Chciała umieścić go na ołtarzu nowego kościoła, który planowała wznieść w Rzymie. Miała nadzieję, że będzie tak głosić Dobrą Nowinę całemu imperium.

Nie dano znaku, ponieważ nie było to konieczne. Legioniści padli na kolana.

Żołnierzy niosących krzyż wybrano, jak zwykle, losowo. Czyniono tak od sześćdziesięciu dni. Każdy, kto ubiegał się o ten przywilej, musiał najpierw zdjąć odznaki. Zaproszono mieszkańców wszystkich okolicznych wiosek.

Żołnierze złożyli drewno na podniszczonym stole, po czym wrócili między towarzyszy. Makariusz zsiadł z osła i podszedł do ołtarza.

– Żołnierze, wstać! – nakazał Antoniusz cicho, jak należało podczas nabożeństwa.

Następnie przemówił Makariusz:

– Zgromadziliśmy się tutaj, by pożegnać naszą panią i okazać wdzięczność Temu, który nas zjednoczył. Naszych więzi nie zerwą czas ani odległość. Ci, których nie ma już wśród żywych, którzy przed nami odeszli do wiecznej chwały, również się z nami łączą.

Biskup poprowadził Eucharystię. Helena trzymała jeden kielich, a Antoniusz i Makariusz dwa pozostałe. Milcząca procesja kroczyła w upale.

Gdy skończyli, Helena stanęła przed zgromadzonymi.

– Przybyłam tutaj jako zrozpaczona kobieta. Moje życie się wtedy skończyło. A jednak Bóg powołał mnie do tej podróży. Rzuciłam wszystko, wyruszyłam i przybyłam tu jako pątniczka. Byłam gotowa na koniec. To była jedyna część Bożego wezwania, która miała dla mnie jakąś wartość – mogłam tu przybyć, zostać zgładzona i wydać ostatnie tchnienie.

Antoniusz nie mógł jej dojrzeć. Widział jedynie płamę światła z szarą posta-

cią w środku.

Helena ciągnęła:

– Bóg doprowadził mnie do tej chwili. Pozostając tuż za zasięgiem mego wzroku i dotyku, ciągnął mnie do przodu, wzywał mnie do służby przez kolejny dzień.

Przez dłuższą chwilę przyglądała się milczącym szeregom.

– Dziękuję za waszą przyjaźń i wsparcie. Zachęcam, byście i wy służyli Bogu każdego dnia.

Objęła Makariusza, a następnie Antoniusza, Ewandera i Fawiana. Odwróciła się w kierunku statku. Antoniusz zdał sobie sprawę z tego, że jego towarzysze onie mieli. Wydał rozkaz:

– Oddział, baczność!

Kobieta w prostym szarym odzieniu weszła na pokład. Odwzajemniła pozdrowienie kapitana i stanęła z Kratosem i służką przy rufie. Została tam, gdy odwiązano liny, podniesiono żagle, a statek zaczął oddalać się od brzegu.

Kiedy okręt rozmył się w złotej poświacie w oddali, Antoniusz poczuł dotyk dłoni na ramieniu i zorientował się, że to Makariusz stanął u jego boku. Biskup posłał mu uśmiech.

– I tak to się zaczyna.

Epilog

Gdy statek Heleny odbił od brzegów, pozostawiła ona za sobą odmieniony naród. Judejczycy na powrót mogli osiedlić się w swoim ukochanym mieście, które odzyskało dawną nazwę. Ustanowiono nowy legion, drugą armię w całej historii Rzymu, do której przyjmowano chrześcijan. Jego głównym celem była ochrona ich życia.

Helena wzniosła w Judei dziewięćdziesiąt sześć kościołów.

Dotarłszy na Cypr, odkryła, że stolica prowincji uległa zniszczeniu na skutek potężnego trzęsienia ziemi ledwie kilka tygodni wcześniej. Ponad połowa ludności zginęła lub została okaleczona. Helena przed dwa lata doglądała odbudowy miasta. Wydała na to wszystkie pieniądze.

Starszyzna miasta chciała przemianować je na jej cześć, ale Helena odmówiła. Stwierdziła, że takich hołdów nie składa się prostej pątniczce.

Zamiast tego poprosiła, by przysposobić statki do celów sakralnych. Podzieliła fragment Krzyża Świętego na części i umieściła je w głównych katedrach na terenie imperium. List dołączony do każdej z nich wyjaśniał cel: w ten sposób Helena pragnęła zjednoczyć imperium pod wspólnym sztandarem wiary i zbawienia.

Opuściwszy Cypr, Helena podróżowała do syna do Rzymu. Znowu w pielgrzymiej szacie.

